Rok II. Lwów, dnia 15 maja 1896. Nr. 10.

# PRZEGLĄD WSZECHPOLSKI

Dwutygodnik polityczny i społeczny.

**Wychodzi 1 i 15 każdego miesiąca.**

Prenumerata w monarchii austro-węgierskiej wynosi rocznie 12 koron, półrocznie 6 koron.

Redakcya i Administracya: Lwów, ul. Maurycego Mochnackiego (Garncarska), 12.

## *GERMANIZACYA.*

Każdy niemal dzień przynosi wiadomość o nowych usiłowaniach i próbach niemczenia naszych kresów zachodnich. Do pomocy rządowi, który po krótkim okresie zwolnienia a raczej powstrzymania w rozwoju działalności germanizacyjnej wrócił obecnie do stosowanego już od lat wielu, a przez Bismarcka wydoskonalonego systemu — staje dziś społeczeństwo niemieckie i nawet duchowieństwo katolickie, o ile jest niemieckiem lub przeważnym wpływom hierarchii niemieckiej ulega. Nie można np. takiego towarzystwa H. K. T. uważać za wybryk szowinizmu pewnej tylko części społeczeństwa niemieckiego, zyskuje ono bowiem coraz więcej członków we wszystkich warstwach ludności, rozszerza zakres swego działania, agituje energicznie i gorliwie, wreszcie pośrednio wywiera wpływ nietylko na osoby pojedyńcze, ale również na rząd, prasę i instytucye publiczne. Obok tego jednego można postawić wiele innych faktów znamiennych, świadczących o usposobieniu ogółu niemieckiego i dążeniach, skierowanych do celu, którym jest wytępienie polskości w granicach Niemiec, wyraźnie i stanowczo zapowiadane.

Nie tak szorstko i cynicznie zmierza do tegoż celu germanizacya ludności polskiej przez kościół, ale dlatego właśnie jest ona niebezpieczniejszą, aniżeli jawne zamachy na narodowość naszą. Pisma poznańskie, pruskie, a zwłaszcza śląskie prawie w każdym numerze podają fakty, wykazujące, że wyższe władze kościelne i pewna część kleru niższego systematycznie wprowadzają niemczyznę do kościoła i walczą zacięcie z dążeniami narodowemi ludu polskiego.

Nie trzeba lekceważyć tego niebezpieczeństwa, ale też nie trzeba doniosłości jego przeceniać. Germanizacya, popierana przez społeczeństwo i kościół przedstawia się groźniej, aniżeli działalność rządu w czasach »kulturkampfu« lub w sprawie kolonizacyi. Duchowieństwo katolickie, które bez względu na narodowość swoją, było nam do niedawna wiernym sojusznikiem w walce, teraz przechodzi do obozu nieprzyjacielskiego lub, w najlepszym razie, zachowuje się neutralnie. Lecz i nasze siły urosły, zahartowały się i wyćwiczyły, świadomość narodowa w ostatnich dwudziestu latach rozwinęła się bujnie tam nawet, gdzie od wieków wydawała się zamarłą. Jestto bądź co bądź objawem znamiennym, że dziś Niemcy więcej mówią o niebezpieczeństwie, które widzą we wzroście żywiołu polskiego, aniżeli my o zamachach na narodowość naszą z ich strony.

Niemcy głoszą, że wytężona działalność germanizacyjna jest właściwie odpowiedzią tylko na zaczepne wystąpienie żywiołu polskiego i zdanie to niezawsze jest obłudą, którą przemoc zwykła maskować swoją niecnotę. Tak byli pewni, że nietylko to, co przed wiekami zagarnęli, ale i późniejsze nabytki staną się wkrótce niezaprzeczoną ich własnością, tak byli zaufani w skuteczność postępowania dotychczasowego, tak wierzyli w nieuniknioną konieczność zagłady naszej narodowości — więc zawód, jakiego doznali, gniewa ich i obawą przejmuje, wydaje im się napaścią na ich »stan posiadania«, zamachem na ich prawa. Fakt, że żywioł polski nie znika, nawet nie słabnie, ale przeciwnie rośnie w liczbę, w siłę polityczną, rozwija się duchowo i materyalnie i powoli odzyskuje stanowiska utracone, uważać mogą za działalność zaczepną, bo czegoś podobnego nie oczekiwali wcale. Wydoskonalony w biurokratyczno feodalnem państwie pruskiem sposób niemczenia okazał się zawodnym w zmienionych warunkach polityczno-społecznych. Zdawało się, że wystarczy poobsadzać Niemcami posady rządowe, zaprowadzić język niemiecki w urzędach, sądzie i szkole, wykupić ziemię od szlachty i sprowadzić kolonistów, ażeby kraj zniemczyć w krótkim przeciągu czasu. System tego rodzaju dawał dawniej dobre rezultaty i dawałby je dziś jeszcze, gdyby nie wzrost świadomości narodowej wśród ludu, którego polityka germanizacyjna nie brała w rachubę. Przyśpieszyła rozwój tej świadomości walka kulturalna, a następnie ogólne warunki polityczne. Kiedy sprawa polska stała się sprawą ludu polskiego, ukazała się niespodziewanie nawet tam, gdzie nikt jej zjawienia się nie oczekiwał, na Śląsku, więcej niż przed pięciu wiekami od Polski oderwanym, na Mazurach w Prusiech Wschodnich, które nigdy bezpośrednio do Polski nie należały. Ten ruch narodowy i zarazem ludowy, o którym przed dwudziestu pięciu laty słychać wcale nie było, a który dziś już przybrał rozmiary szerokie i stał się siłą niewątpliwą — jest objawem żywotności narodowej, której ani Niemcy, ani my sami nie przeczuwaliśmy wcale. Nie jest to wcale ruch zaczepny, bo celem jego jest zachowanie tego, co posiadamy, i odzyskanie, o ile to jest możliwem, tego, co posiadaliśmy niegdyś, ale dla Niemców stanowi istotnie niebezpieczeństwo poważne, grozi ich interesom państwowym i narodowym.

Powiedzieliśmy — dla Niemców, należało powiedzieć dla Prusaków. Zarówno ze względu na zewnętrzną, jak i na wewnętrzną politykę państwa, wzrost żywiołu polskiego i istnienie sprawy polskiej są z pruskiego punktu widzenia niebezpieczeństwem groźnem. Sprawa polska, jak wyznał niedawno Bismarck, jest dla Niemiec, właściwie dla Prus sprawą pierwszorzędną. Jeżeli w ciągu ostatnich lat dziesięciu pomimo kilkakrotnego naprężenia stosunków wzajemnych i pomyślnego dla nich

zbiegu warunków, Niemcy nie zdecydowały się na wojnę z Rosyą, to dlatego przedewszystkiem, że obawiają się poruszyć sprawy polskiej i nie wiedzą, co z nią zrobić. Utworzenie samodzielnego, chociażby słabego państwa polskiego nie może być dla Niemiec pożądanem, bo państwo to z konieczności dążyłoby do odzyskania ziem polskich, które dziś do Prus należą. Przyłączenie Królestwa lub chociażby kilku gubernii pomnożyłoby ludność polską w państwie pruskiem i zwiększyło jej siłę odporną. W dziesięć lat po zniesieniu granicy wzmógłby się znacznie żywioł polski w Prusiech Zachodnich i Wschodnich, które dla Królestwa stanowią naturalny dostęp do morza, tymbardziej że te prowincye są daleko słabiej od Kongresówki zaludnione.

Ale i te prowincye polskie, które Prusy obecnie posiadają, ze względu na swe położenie terytoryalne, przedstawiają poważne niebezpieczeństwo dla państwa podczas wojny lub zaburzeń wewnętrznych. Siedziby polskie na północno-zachodnim krańcu Poznańskiego leżą bardzo niedaleko od Berlina, a całe Księstwo wchodzi szerokim klinem w ziemie niemieckie. Stolica Niemiec znajduje się właściwie na kresach narodowych; wobec tego dążenie do zniemczenia terytoryów sąsiednich jest dla rządu pruskiego sprawą niezmiernie ważną i pilną.

Ma się rozumieć, przytoczyliśmy wszystkie te argumenty nie dla usprawiedliwienia polityki germanizacyjnej rządu pruskiego, ale dla wykazania bezzasadności dosyć jeszcze powszechnych w społeczeństwie naszem złudzeń, że ta polityka może być inną, że ze zmianą ludzi i usposobienia sfer rządzących lub opinii publicznej może nastąpić sprawiedliwe, zadawalniające obie strony uregulowanie stosunków wzajemnych. Gdyby nawet rząd zmienił sposób postępowania, przekonawszy się, że dotychczasowy system germanizacyi jest bezskutecznym — nie odstąpiłby bynajmniej od celów, do których polityka jego zmierza i zmierzać musi. Ani rząd w zamian za przyrzeczoną lojalność nie wyrzecze się germanizacyi, ani my, chociażby nam dano to, czego dziś żądamy, nie wyrzeczemy się naszych dążeń narodowych, zasadniczo sprzecznych z interesami Niemiec, a raczej Prus.

Germanizacya z punktu widzenia niemieckiego jest koniecznością polityczną, zadaniem nietylko państwowem, ale i narodowem. Odstąpić od tego systemu rząd może jedynie pod działaniem przymusu, zniewolony okolicznościami od niego niezależnemi. Natomiast najważniejszem zadaniem naszej polityki narodowej jest przeciwdziałanie polityce germanizacyjnej wszelkimi sposobami. Zarówno dla skuteczności tego przeciwdziałania, jak i dla określenia lub przynajmniej zaznaczenia na czem właściwie polega odporność nasza, co stanowi jej siłę niespożytą — powinniśmy dokładnie zdawać sobie sprawę z dotychczasowego przebiegu i charakteru germanizacyi naszych kresów zachodnich. Tymczasem widzimy w opinii publicznej pogmatowanie pojęć w tym względzie, nieznajomość stosunków dzisiejszych i faktów historycznych, które wiele punktów spornych lub wątpliwych mogłyby wyjaśnić należycie. Niepodobna kusić się w artykule dziennikarskim o wszechstronne przedstawienie tej zawiłej i złożonej sprawy, sprobujemy jednak oświetlić niektóre, ważniejsze jej strony, dotychczas przy rozprawach o germanizacyi niedostatecznie uwzględniane. Sprobujemy również jeżeli nie rozstrzygnąć ostatecznie, to wyraźnie określić wątpliwości pewne, których usunięcie byłoby ze wszech miar pożądane.

Pierwszem z porządku rzeczy, a zarazem jednem z najważniejszych pod względem praktycznym, jest pytanie: czy germanizacya robi postępy, czy też zatrzymała się na pewnym punkcie, lub nawet czy cofa się od pewnego czasu. Odpowiedzi bywają różne, stosownie do punktu widzenia, do sfery stosunków, na którą głównie zwracamy uwagę, do okresów czasu, które porównywamy i t. d.

Na podstawie faktu, że dzierżawy słowiańskie sięgały niegdyś do Elby, a nawet za Elbę, że w dorzeczu Odry do jej ujścia siedziały już w czasach późniejszych plemiona polskie, powtarzamy często, że wszystkie te ludy zgermanizowane zostały przez zwycięzkich przybyszów Niemców. Istotnie na całej przestrzeni mieszkają dziś Niemcy, ale proces pochłaniania ludów słowiańskich odbywał się trochę inaczej, niż to zwykle przedstawiany. Siedziby tych ludów tworzyły jakby kępy wśród niezaludnionych obszarów. Niemcy osiedlali się przedewszystkiem na przestrzeniach nie zajętych i z początku nie germanizowali wcale, ale poprostu tępili tuziemców, których nieliczne szczątki zachowywały mowę swoją do końca ubiegłego lub nawet do początku bieżącego wieku. Późniejsza kolonizacya niemiecka ziem polskich była niemal wyłącznie osadzaniem obszarów pustych lub słabo zaludnionych. Jeżeli odtworzymy na mapie stan zaludnienia Polski w XIII wieku i nawet w czasach późniejszych i porównamy go z mapą, oznaczającą dzisiejsze stosunki etnograficzne, zobaczymy, że ludność niemiecka w Prusiech Zachodnich, w Poznańskiem i na Śląsku siedzi zwartą masą w tych okolicach, których zaludnienie przed 500 laty i później było bardzo rzadkie. Śląsk górny, już w zaraniu naszych dziejów gęsto zaludniony, pozostał do dziś dnia polskim, chociaż podzielał losy Śląska dolnego, zniemczonego dziś zupełnie. Na północ od Wrocławia jeszcze w XIII wieku ciągnęły się wielkie puszcze i moczary, wśród których tu i owdzie rozrzucone były grody i nieliczne osady polskie. Tę pustkę skolonizowali Niemcy i dopiero po upływie kilku wieków wchłonęli w siebie nieliczną ludność polską. Podobnych przykładów przytoczyć można kilka, np. okolice nad Notecią, które były niegdyś wielką puszczą. Niemcy wciskali się, można powiedzieć, mechanicznie między ludność polską, osiadając niemal wyłącznie na tych obszarach, dawniej nie zaludnionych, które już w czasach historycznych oddzielały terytorya plemion polskich. Tam tylko, gdzie mogli siedzieć zwartą masą, zachowali narodowość swoją, wszystkie zaś osady niemieckie wśród ludności polskiej spolszczyły się i teraz nawet się polszczą. Ten charakter osadnictwa niemieckiego tłómaczy fakt, przypisywany kierownictwu świadomemu, że siedziby niemieckie na ziemi naszej wchodzą klinami między masy ludności polskiej, dzielą Śląsk górny od Poznańskiego, Poznańskie od głównego terytoryum polskiego w Prusiech Zachodnich, a to ostatnie od siedzib Mazurów. Niewątpliwie później rząd pruski popierał celowo ten kierunek osadnictwa, ale z początku był on zupełnie naturalnym.

Ten charakter mechaniczny zachowało osadnictwo niemieckie do ostatnich czasów, dopóki zaludnienie ziem polskich nie wzrosło do pewnej normy. Osławiony *Drang nach Osten* od lat kilkunastu ustał zupełnie jako ruch naturalny i dzisiaj sztucznie musi być przez rząd podtrzymywany. Oceniając współczesne stosunki narodowościowe w Poznańskiem i Prusiech Zachodnich pamiętać winniśmy, że ludność niemiecka już za czasów polskich była w tych prowincyach bardzo liczną, że

odsetek jej prawdopodobnie wzrósł niewiele. Różnica, niezmiernie zresztą ważna, na tem jedynie polega, że przed stu laty ci Niemcy uważali się politycznie za Polaków i stawili nawet w Toruniu i Gdańsku opór wojskom pruskim. W XV wieku Prusy Zachodnie, w znacznym stopniu pod rządami krzyżackimi zniemczone, polszczyć się zaczęły, a w zachodnich powiatach Księstwa już za rządów pruskich żywioł polski wzmógł się na siłach, zwłaszcza w miastach, które za czasów polskich były tam zupełnie prawie niemieckiemi. Niektóre powiaty na Śląsku mają wyższy procent ludności polskiej, aniżeli przeciętnie wypada w Królestwie i nawet w Galicyi zachodniej.

Te różnorodne na pozór fakty świadczą zgodnie, że germanizacya naszych kresów zachodnich nie przekraczała pewnych granic, zależnych od właściwości osadnictwa niemieckiego. Ogółu ludności polskiej nigdy germanizacya nie objęła, a tymbardziej dzisiaj objąć nie może. Naturalny ruch osadniczy ku wschodowi należy już do przeszłości i najhojniejsze zasiłki nie wskrzeszą go w dawnych rozmiarach, przeciwnie wychodztwo zarobkowe wielkiemi masami płynie ze wschodu na zachód. Ale system germanizacyjny niewątpliwie wyrządził nam szkód wiele. Część ludności miejskiej, która polonizować się już zaczynała, zasilona dopływem nowych żywiołów, pod działaniem środków, które rząd w ziemiach polskich stosuje, stała się dziś niemiecką świadomie. Wogóle można powiedzieć, że miasta, które za czasów polskich miały ludność niemiecką przeważnie lub żydowską, zniemczyły się, chociaż z drugiej strony zaznaczyć trzeba, że żywioł polski, zwłaszcza w ostatnich latach, powoli ale systematycznie zdobywa stanowiska w przemyśle i kupiectwie.

W tych ziemiach polskich, które bezpośrednim wpływom niemieckim oddawna już ulegają zniemczyła się przed innemi ta warstwa społeczna, która zajmowała stanowisko przewodnie. Jeszcze w XVIII stuleciu były na Śląsku szlacheckie domy polskie, dziś niema już ani jednego. W Prusiech Wschodnich w XVII nawet i w XVIII wieku liczono kilkaset rodzin szlacheckich polskich, które albo wysiedliły się następnie, albo zniemczyły całkowicie. Nawet w Prusiech Zachodnich i w Poznańskiem zrobiła już germanizacya znaczne szczerby w tej warstwie narodu i w związku z wielu innymi czynnikami silnie podkopała jej stanowisko społeczne.

Warstwa społeczna, w znaczeniu swem i podstawach bytu swego zachwiana, bezwiednie słabością swoją mierzy siłę narodu. Wobec dążności germanizacyjnych rządu, społeczeństwa niemieckiego a poniekąd i kościoła, z nieubłaganą stanowczością zmierzających do wytkniętego celu — szlachta w zaborze pruskim i inteligencya polska, która w przeważnej większości z urodzenia lub z przekonań i uspsobienia dziś jeszcze jest szlachecką, czują swoją słabość i niezaradność. Jedni pragną za pomocą ustępstw i kompromisów powstrzymać, chociażby na czas krótki działanie systemu, który przedewszystkiem im zagraża. Drudzy, dobrze rozumiejąc, że Niemcy od systemu swego dobrowolnie nigdy nie odstąpią, i nie ufając w siły własnego społeczeństwa, w zwątpieniu i przygnębieniu bezczynnie załamują ręce i wyrzekają się wszelkiej nadziei lub oczekują jakiegoś cudu, który naród nasz od grożącej mu zagłady ocali. Inni wreszcie, bo są i tacy, w przystępie rozpaczy gotowi byliby zmienić jarzmo niemieckie na rosyjskie, byleby tylko pozbyć się wroga, którego przemoc wydaje się im niezwalczoną.

Zrozumieć można stan umysłów i nastrój uczuć wywołujących tego rodzaju zboczenia polityczne. Nie są te zboczenia następstwem błędnych rachub lub poglądów fałszywych, ale po prostu wynikają z poczucia słabości. Przed kilku laty na jakimś zjeździe w Poznaniu jeden z mieszkańców Królestwa zapewniał, że Polacy w zaborze rosyjskim z radością powitają pikelhauby pruskie na ulicach Warszawy. Na innem znowu zebraniu pewien mówca wielkopolski wygłosił zdanie, ze ziomkowie jego pragnęliby usłyszeć brzęk podków koni kozackich na bruku Poznania. W tych i wogóle w podobnych wyrażeniach nie trzeba upatrywać zapowiedzi jakichś zwrotów politycznych lub programów działania, ale są one objawem znamiennym usposobienia większości naszej inteligencyi szlacheckiej i wielkomieszczańskiej.

Należałoby wykazać różnicę, jaka istnieje między germanizacyą a rusyfikacyą, chociaż ta druga jest pod wieloma względami kopią pierwszej, do odmiennych warunków zastosowaną. Nie możemy dziś pobieżnie nawet traktować tego przedmiotu, ale zaznaczymy, że jako system polityczny rusyfikacya jest gorszą chociaż w rzeczywistości mniej szkodliwą, niż germanizacya. To zaś, że jest mniej zgubną zawdzięczamy nie twórcom i wykonawcom systemu, ale przedewszystkiem naszej wyższości naturalnej, a następnie warunkom terytoryalnym i ekonomicznym.

Bądź co bądź, ludność polska w państwie niemieckiem ma możność, chociaż ograniczoną, obrony praw swoich, a obok tego ma, co jest ważniejszem, względną swobodę organizowania sił narodowych w różnych dziedzinach działalności. Stowarzyszenia polskie i prasa ludowa polska oddały sprawie narodowej usługi olbrzymie, których należycie ocenić dziś jeszcze nie możemy. Bez nich polskość ludu byłaby dotychczas jego właściwością bierną, bezwiedną, kiedy dziś jest już potężną siłą czynną i świadomą. Ta zamiana jest już faktem dokonanym, który pozostanie i rezultaty odpowiednie wyda, chociażby dziś ludność polską w Prusiech pozbawiono nawet wszelkich praw konstytucyjnych.

Germanizacya jest systemem politycznym, w pewnej mierze z interesami narodowości niemieckiej, a przedewszystkiem i interesami państwa pruskiego ściśle związanym, wytworzonym przez warunki historyczne oraz współczesne racye państwowe i ekonomiczne. Powinniśmy to sobie uświadomić należycie, bo nasza działalność odporna musi być przystosowaną do charakteru działalności przeciwnika. Nie możemy spodziewać się zmiany tego systemu: żywienie takich nadziei jest szkodliwem dla nas złudzeniem, a rozprawianie o niemoralności germanizacyi — próżną gadaniną, nie mającą nic wspólnego z polityką. Niema stronnictwa w Niemczech, nie wyłączając socyalistów, któreby się wyrzekło stanowczo tego rodzaju dążności, co najwyżej inaczejby tylko system stosowało. Niemcy naszą dzielnicę zachodnią uważają za swoje dziedzictwo, którego posiadanie pragną jak najrychlej utrwalić.

Dobrowolnie niczego nie oddadzą i niczego nam nie przyznają. Ale polityka wewnętrzna państw współczesnych jest nader złożoną, wpływa na nią mnóstwo czynników różnorodnych, stosunki są powikłane i gmatwają się coraz bardziej, nie wolno więc odrzucać z góry możliwości zmuszenia rządu do pewnej zmiany w postępowaniu, zniewolenia go do pewnych ustępstw na rzecz naszą. Urzeczywistnienie wszakże tej przypuszczalnej możliwości zależy wyłącznie od naszej siły, a nie, od naszych usług i zabiegów w celu zjednania sobie życzliwości wroga.

Siłę odpowiednią niewątpliwie posiadamy, chociaż nie jest ona jeszcze jak należy wyćwiczoną i wprawioną do działania zaczepnego. Natomiast w działalności odpornej możemy już siłom swoim zaufać. Lud polski, wiejski i miejski, na całym obszarze kresów zachodnich doszedł już lub dochodzi do świadomości narodowej. Jeżeli na Mazurach i na Śląsku narodowość swoją nieskażoną przechował, to tymbardziej teraz o wyrzeczeniu się jej nie pomyśli. Nawet germanizacya przez kościół, której obawa jest, zdaje się, dosyć uzasadnioną, już poczucia narodowego nie wypleni. Przykład Czech, gdzie kościół był powolnem narzędziem niemczenia, wykazuje dowodnie, że ludu całego żadnymi środkami wynarodowić nie można. Historya zna narody, które zostały rozproszone, ale nie zna, przynajmniej w okresie nowożytnym takiego, któryby się wynarodowił. Upadek polskiej własności ziemskiej jest klęską, lub przynajmniej stratą poważną, trzeba jednak pamiętać, że wyzbywają się ziemi jedynie wielcy właściciele. Ułatwia to kolonizacyę, mechaniczne wciskanie, ale chociażby polska własność szlachecka zupełnie zniknęła, zostanie chłop polski na swej ojcowiźnie lub nabytej parceli, zostanie kupiec, rzemieślnik i przemysłowiec polski w mieście, zostanie wreszcie wzrastający w miarę rozwoju potrzeb i interesów ludu zastęp inteligencyi zawodowej. Obniży się poziom naszej kultury umysłowej, naszego życia politycznego — to go pracą wytrwałą z czasem podniesiemy, zgasną ogniska tradycyi dziejowej i obyczajowej — to je z iskier, tlejących pod popiołem w chłopskich chatach na nowo rozniecimy, zmarnieją w ciągu wieków gromadzone nabytki działalności obywatelskiej — to je zdwojoną ofiarnością lub poświęceniem odbudujemy i odtworzymy. Znamy się już na takiej robocie, od dwudziestu kilku lat prowadzonej na Śląsku i widzimy już nieoczekiwane jej rezultaty.

Tak będzie, raczej tak byłoby, gdyby się spełniły przewidywania najgorsze. Spotkałaby nas straszna klęska, ale i wtedy nie założylibyśmy rąk bezczynnie i nie folgowalibyśmy rozpaczy. W rzeczywistości tak źle nie jest i nie będzie. Nabytki nasze narodowe bodaj przewyższają straty, a niewątpliwie wyrównywają je całkowicie, możemy więc czekać cierpliwie chwili sposobnej do zmiany warunków naszego bytu i w tem oczekiwaniu ćwiczyć nasze siły.

Germanizacya niejedną przykrość, niejedną stratę nam gotuje, ale dla przyszłości naszej narodowej nie jest już dziś tak groźną, jak niedawno jeszcze była. Zmierzyliśmy się z nią kilkakrotnie na różnych polach pracy i działalności społecznej i nie pokonała nas na żadnem z nich. W jednej tylko dziedzinie życia wpływ jej odbija się fatalnie i przeciwdziałania prawie nie spotyka. Bezpośrednio i pośrednio oddziaływa ten system polityczny na umysłowość naszą, obezwładnia myśl polską, duszę polską pozbawia jej indywidualności, jej właściwości znamiennych. Prawda, że coraz liczniejsze gromady uczą się myśleć, ale umysłowość staje się coraz bardziej powszednią, pospolitą, bezbarwną, do celów i zadań praktycznych przystosowaną, a zarazem wobec umysłowości niemieckiej nad miarę skromną i pokorną. W tem tkwi niebezpieczeństwo poważne, bo wyższość kultury umysłowej jest w walkach narodowych potężniejszym orężem, aniżeli przewaga polityczna.

---

## *MŁODZIEŻ POLSKA W ZABORZE ROSYJSKIM.*

X.

Młodzież uniwersytecka gdzieindziej i u nas. Niedouczeni. Dobór sztuczny w szkole. Inteligencya nieuniwersytecka i jej wartość. Zakończenie.

Mówiąc o młodzieży danego społeczeństwa, przedewszystkiem mamy na myśli młodzież uniwersytecką, z niej bowiem wyrasta najwyżej oświecona warstwa społeczna, nadająca ton życiu narodowemu, dostarczająca społeczeństwu przewodników na wszystkich polach jego pracy. Tak zrobiłem i ja, poświęcając swe artykuły wyłącznie charakterystyce naszych studentów.

Podobne traktowanie rzeczy jest naogół słuszne. Przy dzisiejszej organizacyi wychowania publicznego w Europie, przez szkoły wyższe przechodzą prawie wszystkie lepsze siły umysłowe społeczeństw, one istotnie dostarczają tego, co nazywamy inteligencyą. Nie należy atoli zapominać, że wyjątkowe warunki polityczne, w których żyje nasz ogół, i pod tym względem zrobiły z nas wyjątek.

Gdy w innych krajach w wychowaniu młodych pokoleń panuje wysoka prawidłowość, gdy tam ludzie otrzymują przeważnie wykształcenie według pewnego programu skończone, gdy u dzieci rodziców inteligentnych ukończenie gimnazyum czy liceum jest rzeczą całkiem normalną, — u nas skończenie szkoły średniej i możność korzystania ze studyów wyższych jest rzeczą stosunkowo rzadką i bywa uważane niemal za wypadek. W naszych warunkach możliwy jest taki fakt, że dane gimnazyum kończy zaledwie 3% uczniów, którzy do niego wstąpili, reszta zaś stopniowo z roku na rok odpada, nie znamy zaś bodaj szkoły, któraby wypuszczała z patentami dojrzałości przynajmniej trzecią część wstępujących do niej uczniów. Obok tego widzimy, iż całe tłumy kandydatów do szkół średnich, odchodzą od ich progów, nie znajdując tam dla siebie miejsca, rząd rosyjski bowiem ostatnimi czasy przeszło o połowę zmniejszył ilość wychowańców szkół średnich. Co się dzieje z tą młodzieżą, która nie dostając się do szkół publicznych, szuka wykształcenia na innych drogach, z tymi, co wszedłszy do gimnazyum z zamiarem przejścia później na uniwersytet, zostali przed ukończeniem szkoły wydaleni lub innym sposobem zmuszeni do opuszczenia jej murów?... Dostarcza ona t. zw. wykolejonych czy niedouczonych, których jest o wiele więcej, aniżeli tych, co kończą wyższe studya. Obok młodzieży, przechodzącej przez uniwersytety, składają się oni też w ogromnej liczbie na tę warstwę, którą nazywamy inteligencyą.

Jeżeli z jednej strony liczba tych niedouczonych jest w naszem społeczeństwie tak wielka, jak w żadnem innem, to z drugiej należy stwierdzić, że w znacznej części młodzież to całkiem odmiennej wartości, aniżeli odpadająca ze szkół w innych krajach.

Gdy w każdem społeczeństwie, mającem normalną organizacyę wychowania, w szkole odbywa się mniej więcej prawidłowy dobór młodzieży zdolniejszej, połączony z usuwaniem jednostek mniej zdolnych lub odznaczających się niskim stanem moralnym, — u nas rzecz przedstawia się trochę inaczej, bo u nas szkoła inne cele sobie postawiła. Szkoła rosyjska w Polsce nie uważa za swe zadanie dostarczania społeczeństwu, do którego jej wychowańcy należą, jednostek jak najzdolniejszych do pracy na wszelkich polach, — jej dąże-

niem jest wyrabianie ludzi jak najmniej szkodliwych dla Rosyi, jak najmniej zdolnych do przeszkadzania rządowi w jego niszczącej na naszym gruncie działalności, a zatem jak najmniej zdolnych do pracy twórczej dla społeczeństwa polskiego. Stąd szkoła rosyjska uprawia sztuczny dobór młodzieży, odrzucając jednostki, posiadające wyraźny charakter, żywy, energiczny temperament, niezależność umysłową, odrzucając wszystko, co się nie da nagiąć pod jej ciężkie jarzmo. Widziałem ogromną ilość tym lub innym sposobem wydalonych ze szkół rosyjskich: najwięcej z pomiędzy nich usunięto ze szkoły za to, że w wypracowaniach piśmiennych nie umieli trafiać w myśl nauczyciela, że przenosili na papier »swe własne myśli« — co wyraźnie jest uznane za zbrodnię, — że nie umieli kłamać dla otrzymania lepszego stopnia; innych wypędzono za to, że czytali polskie książki; innych znów, że zbyt nieostrożnie po polsku mówili; tego władza się pozbyła za to, że z oczu jego patrzyła »*dierzost'*« (zuchwalstwo), w chwilach, gdy go lżył niesłusznie nauczyciel; tamtego wyświecono ze wszystkich szkół i oddano pod sąd, że dotknięty w swych najświętszych uczuciach spoliczkował brutalnego Moskala; jeden skręcił kark za to, że myślał, inny za to, że czuł, inny wreszcie, że miał zbyt normalne odruchy. Spotykając tych wykolejonych na każdym kroku, powiedziałem sobie, że materyał na inteligencyę, który gimnazya z patentami dojrzałości wypuszczają, nie jest najlepszą częścią naszej młodzieży. Najlepsze siły odpadły w doborze sztucznym, prowadzonym przez władze wychowawcze rosyjskie, przez konsekwentny system apuchtinowski, odpadły, by się po za szkołą, z pomocą niesłychanych wysiłków nad poziom wybić, lub w nieodpowiedniem otoczeniu ludzkiem, w braku warunków do pracy nad sobą ostatecznie swe siły zmarnować. Tego rodzaju straty w ludziach — to jedna z najsmutniejszych stron naszego współczesnego życia.

Ogół młodzieży, kończącej u nas szkoły średnie, to organizacye, które nagięły się do barbarzyńskiego systemu wychowawczego ze stosunkową łatwością, dzięki bierności umysłowej i brakowi temperamentu. Wyjątkowo zdarzają się śród niej jednostki z silnym charakterem, które przeszły niesłychanie trudną walkę wewnętrzną, używając nadludzkich niemal wysiłków dla panowania nad sobą na każdym kroku, dla uniknięcia wszystkiego, coby mogło strącić je z drogi ku upragnionemu celowi — urzędowemu patentowi dojrzałości, dającemu wstęp na studya wyższe. Ci ludzie przeszli całe piekło upokorzeń, udręczeń wszelkiego rodzaju, gwałtów zadawanych samym sobie, zahartowali w niem swą wytrzymałość, ale nie uniknęli spaczenia umysłowego i poniekąd moralnego, wreszcie upadku sił fizycznych, będącego koniecznym skutkiem przystosowania się do rosyjskiej szkoły. Cierpią oni mękę największej, jaką w dzisiejszem społeczeństwie można sobie wyobrazić — niewoli, pocieszając się, że po ostatnim egzaminie wybije dla nich godzina wolności, ale gdy ta wolność przychodzi, okazuje się, że już brak im sił do należytego jej używania. Tak, w sztucznym doborze szkoły rosyjskiej przechowuje się z naszej młodzieży to, co gorsze, a lepsza część, bądź odpada, wypchnięta z właściwej kolei życia, bądz pozostając na niej, wypacza się i łamie.

Społeczeństwo polskie, w poczuciu potrzeby pomnażania sił ukształconych do pracy społecznej, czyni wiele dla młodzieży szkolnej, dla dostarczenia jej środków kształcenia się. Oddawna gromadzą się zapisy stypendyalne i, gdyby nie bezczelna kradzież ze strony władz rosyjskich, gwałcących ostatnią wolę zapisodawców i przeznaczających stypendya polskie dla młodzieży rosyjskiej, bylibyśmy pod tym względem bardzo bogaci. Dziś, tak samo, jak dawniej, najpopularniejszym celem jest pomoc dla młodzieży szkolnej. Ale ofiarność nasza zbyt jest szablonowa, zbyt trzyma się na utartych szlakach, niepomna, że wyjątkowe nasze położenie wskazuje jej nowe kierunki. Pomagamy młodzieży, przechodzącej przez sito szkoły moskiewskiej, przeciskającej się z mniejszą lub większą łatwością przez jej ciasne oczka, cieszącej się dobrą opinią władz szkolnych i samego Apuchtina, od którego zależy zatwierdzanie wszystkich stypendystów — ale czy pomyślał kto u nas o zorganizowaniu pomocy dla tych, których szkoła rosyjska odrzuca i śród których spotkać można najlepsze siły naszego młodego pokolenia, najniezależniejsze umysły i najszlachetniejsze charaktery?.. Tymczasem życie dostarcza nam dowodów, że ci właśnie wykolejeni zdobywają sobie coraz poważniejszą rolę w społeczeństwie, zajmując stanowiska, opuszczone przez patentowanych kretynów lub niedołęgów. Najlepszym tego dowodem nasza literatura współczesna, której prawie wszystkie młode siły — to ludzie, którym się nie udało szkoły rosyjskiej ukończyć. A gdybyśmy mogli przeprowadzić statystykę naszego czytelnictwa, to napewnoby się okazało, że najmniej kupują książek i najmniej czytają ludzie z uniwersyteckimi dyplomami.

Nasza młodzież uniwersytecka nie zasługuje na potępienie, przeciwnie, godna jest współczucia, jako ofiara niepomyślnie składajgcych się czynników dziedziczności, niedorzecznego wychowania domowego, głównie zaś niesłychanego, nie ocenionego jeszcze należycie okrucieństwa wychowawców moskiewskich. Jest ona naogół sympatyczna, dobra, ma bardzo szlachetne popędy, dużo dobrej woli, ale to nie przeszkadza stwierdzić u niej braku sił fizycznych, moralnych i umysłowych, a stąd małej jej wartości dla społeczeństwa, w porównaniu z naszą młodzieżą ubiegłej doby i z inteligencyą uniwersytecką innnych krajów. Punkt ciężkości wpływu społecznego przenosi się coraz bardziej do inteligencyi nieuniwersyteckiej, do zastępów odrzuconych przez szkołę rosyjską. Na te sfery winna się zwrócić uwaga ludzi dbających o naszą przyszłość, tam czuwać należy, żeby jak najmniej było sił zmarnowanych, żeby jak najwięcej ich ocalało dla dodatniej pracy obywatelskiej.

Nie znaczy to, żeby należało lekceważyć znaczenie dla społeczeństwa dzisiejszej młodzieży uniwersyteckiej. Szkoły wyższe zawsze będą głównem źródłem, dostarczającem społeczeństwu inteligencyi. Jeżeli zaś ta inteligencya dziś wiele pozostawia do życzenia, to winien temu szczególny zbieg warunków nieprzyjaznych, którym w odpowiedni sposób nie przeciwdziałamy.

Z tradycyi poniekąd objęła nasza młodzież rolę odrębnego czynnika społecznego i, w roli tej stara się często przeciwstawiać siebie całemu społeczeństwu. Pamięta ona niedawne u nas czasy zawziętej walki młodych ze starymi, w której pierwsi przedstawiali ogromną siłę i wiele osiągnęli. Ale dziś już czasy się zmieniły: dziś życie wysunęło na porządek dzienny inne kwestye, inne potrzeby, inne hasła walki. Stąd i rola młodzieży musi być inna, tembardziej, że nie jest już ona tą siłą, co dawniej, ani jakościowo, ani ilościowo. Dziś o jednej rzeczy przedewszystkiem pamiętać trzeba: gdy system wychowawczy rosyjski zniepráwia umysł i serce, gdy wystawiona na jego wpływy młodzież wypacza się i wyrodnieje, jedynym środkiem osłabienia tych wpływów jest jak najściślejsze zespolenie się

z własnem społeczeństwem, z tem, co ono ma zdrowego i żywotnego, i czerpanie tam pokarmu dla duszy. Wyodrębnianie się młodzieży w zamkniętą jakąś warstwę, w sektę, mającą odrębną etykę, odrębne ideały, przy dzisiejszych jej siłach, przy dzisiejszych czynnikach wychowania, prowadzi do takich zboczeń, takich absurdów, jakich przykłady w tym pobieżnym szkicu podałem. Jeżeli nasza młodzież chce żyć, jeżeli chce, żeby życie miało dla niej wartość i żeby ona sama dla tego życia, dla społeczeństwa coś wartą była, nie może się ze społeczeństwa wyodrębniać, ale przeciwnie musi się pogrążyć jak najgłębiej w swe środowisko społeczne, żyć jak najszerzej jego życiem i jego myślą. Inaczej, zwyrodnienie umysłowe, dziś tak wyraźne, coraz bardziej będzie się posuwało, młode pokolenia coraz więcej będą dostarczały anemicznych, wysuszonych mózgów, zdolnych jedynie do jałowego przeżuwania oderwanych od życia teoryjek.

*R. Skrzycki.*

## Z CAŁEJ POLSKI.

Zajścia w Kole polskiem w Wiedniu. Wybory w powiecie świeckim. Głosy prasy rosyjskiej o prześladowaniu krzyżów. Duchowieństwo i szkoły ludowe w Królestwie. Emilia Szczaniecka.

Niezadowolenie z polityki Koła polskiego w Wiedniu staje się w kraju powszechnem. Z wyjątkiem *Czasu* wszystkie dzienniki, bez różnicy barwy, krytykują w sposób mniej lub więcej dosadny zachowanie się Koła, które w krótkim przeciągu czasu zdążyło popełnić cały szereg błędów, kompromitujących jego stanowisko. Pierwszym błędem, który, jak to zwykle się zdarza, pociągnął za sobą inne, było wykluczenie posła Lewakowskiego. Wypadek ten wytrącił Koło z równowagi, ujawnił w niem bowiem rozstrój, sztucznie zasadą obowiązkowej solidarności pokrywany. Dziś nie ulega już wątpliwości, że sprawę z p. Lewakowskim przegrało Koło przed sądem opinii publicznej, co jest tymbardziej ważnem, że samo nadało temu zajściu znaczenie zasadniczego sporu politycznego. Jeżeli ten fakt, który sam w sobie szczególnej doniosłości nie miał, wywołał zaburzenie w działalności Koła, to widocznie cały mechanizm przedstawicielstwa Galicyi popsuł się i wymaga naprawy.

Niektóre dzienniki z powodu zachowania sie Koła w sprawie z p. Lewakowskim wyrażały obawę, że przyszłe wybory do Rady państwa odbywać się mogą pod hasłem: »precz z solidarnością«. Sprawa solidarności schodzi teraz na plan drugi, i jeżeli Rada państwa wkrótce zostanie rozwiązaną a Koło taktyki nie zmieni, to kto wie, czy wybory nie odbędą się pod hasłem: precz z Kołem t. j. z dzisiejszym jego składem i polityką, jaką obecnie prowadzi.

Zajścia w Kole, o których niżej wspomnimy, wykazują, że znajduje się pewna liczba posłów, zmuszonych do milczenia lub głosowania, wbrew swoim przekonaniom i wyraźnym żądaniom wyborców, w sprawach najważniejszych, wtedy nawet, kiedy zgodnie z nimi oświadcza się opinia całego niemal kraju. Powiedzieć to można np. o głosowaniu bezpośredniem, a zwłaszcza o głosowaniu tajnem. Za głosowaniem jawnem obrońcy jego nie mogą przytoczyć ani jednego argumentu, oprócz tego chyba, którego głośno nie wypowiadają, że zabezpiecza im mandaty.

Przez opieszałość własną poniosła porażkę większość Koła w tej najważniejszej dla siebie sprawie. Rada państwa uchwaliła wniosek Bareuthera o tajnem głosowaniu w kuryi czwartej i piątej 117 głosami przeciw 102. Ta uchwała zabezpieczająca w znacznej mierze wolność głosowania, zyskała większość dlatego tylko, że znaczna liczba posłów polskich nie przybyła na posiedzenie. Niespodziewany rezultat głosowania wywołał popłoch w Kole, mówiono nawet o odrzuceniu całej ustawy w trzeciem czytaniu, ale zaniechano tego zamiaru z obawy oburzenia na siebie opinii publicznej i narażenia się rządowi. Nadzieja, że rząd stanie w tej sprawie po stronie Koła zawiodła, przyjął on bowiem całą sprawę dosyć obojętnie, tylko minister dla Galicyi p. Rittner oświadczył, że uchwała o głosowaniu tajnem dotyczy jedynie wyborców, prawybory zaś odbywać się będą jawnie. Właściwie wniosek Bareuthera różnicy tej nie ustanawia.

Prezes Koła p. Zaleski wystosował do posłów polskich okólnik, który, jako urzędowe świadectwo ich opieszałości, przytaczamy tu dosłownie:

»Wczoraj podczas imiennego głosowania nad wnioskiem Bareuthera, zaprowadzającym w V kuryi tajne głosowanie kartkami, któryto wniosek otrzymał 14 głosów większości, głosowało przeciw wnioskowi 26 posłów polskich, trzech się od głosowania usunęło, nieobecność pięciu była wytłómaczoną; a brakowało 21 posłów, którzy albo bez urlopu bawią po za Wiedniem, albo też w Izbie się na czas nie pojawili. Z największą przykrością konstatuję ten smutny fakt, który nietylko umożliwił rezultat głosowania, uchwałom Koła przeciwny, ale w wysokim stopniu naraża stanowisko i powagę Koła wobec innych stronnictw. Jak najusilniej upraszam szanownych kolegów, aby w interesie sprawy publicznej z jak największą gorliwością spełniali swój obowiązek poselski i nie dopuszczali do powtórzenia się wypadku, jak wczorajszy«.

Przy tej sposobności okazało się, że posłowie nie tylko opuszczają posiedzenia, ale często nawet pocichu wyjeżdżają z Wiednia, nie biorąc urlopów, żeby nie stracić dyet. Takie postępowanie sprzeciwia się wszelkim zasadom przyzwoitości, a nawet zwyczajnej uczciwości. Zarzutu, jawnie postawionego w dziennikach, Koło nie odparło, bo odeprzeć nie mogło. Nazwiska tych zbiegłych posłów, spekulujących na dyetach, należałoby podać publicznie do wiadomości wyborców.

Obecnie większość Koła, przeciwna głosowaniu tajnemu, stara się wpłynąć na rząd, żeby ten skłonił Izbę panów do odrzucenia § 41 ustawy wyborczej w zmienionej na wniosek Bareuthera formie. Jest to droga bardzo niebezpieczna dla Koła, bo niewątpliwie teraz, kiedy się okazało, że pomimo uchwalenia tajnego głosowania rząd reformy wyborczej nie cofnie, w Radzie państwa znajdzie się większość, która ponownie § 41 w zmienionej formie zatwierdzi. Nic więc prawdopodobnie Koło nie zyska, natomiast podczas nowych rozpraw stronnictwa, dla których tajne głosowanie jest sprawą najważniejszą, wywloką na światło cały szereg nadużyć wyborczych i innych, dokonywanych w Galicyi i wznowią przykre, kompromitujące kraj, a zwłaszcza jego przedstawicieli rozprawy o »gospodarce polskiej«. Zapewne i hr. Badeni nie bardzo życzyłby sobie tego prania brudów galicyjskich w Wiedniu, może więc uda mu się uspokoić przestraszonych o swoje mandaty członków Koła.

Jak wykazał p. Lewakowski, do Koła wpłynęło mnóstwo podań o zaprowadzenie głosowania bezpośre-

dniego. Na te życzenia kraju przedstawiciele jego nie zwrócili uwagi. Obecnie zarząd stronnictwa ludowego wydał odezwę, wzywającą do podpisywania i możliwie prędkiego wysyłania do Wiednia petycyi w sprawie głosowania tajnego. Jeżeli Koło nie zastosuje się do żądań wyborców, to w każdym razie wpłyną one zarówno na postanowienie Izby panów, jak i na zdanie Rady państwa, gdyby projekt wrócił do niej.

W tej pokątnej intrydze przeciw tajnemu głosowaniu większość Koła wykazuje energię, której nie miała wcale, kiedy chodziło o powiększenie liczby mandatów z Galicyi. »Nie interes kraju, nie dobro kraju, ale obawa o własne wpływy, zdobyte podstępem lub bezprawiem«, jak słusznie powiada *Nowa Reforma*, jest główną pobudką tych konszachtów...

Zanim przebrzmiały głosy dzienników o tej sprawie, zdarzył się nowy skandal w Kole. Na posiedzeniu, zwołanem z powodu wniosku posła Kaizla, żądającego, żeby t. zw. opusty podatkowe przyznane były niemal wyłącznie włościanom, pięciu posłów oświadczyło, że pragną głosować za tym wnioskiem, któremu Koło jest przeciwne. Byli to trzej księża — Pastor, Chotkowski i Kopyciński, włościanin Potoczek i jeden z najbardziej postępowych posłów Hofmokl. Nie mówiąc o tem, że wniosek Kaizla był wogóle słusznym i uzasadnionym, zaznaczyć trzeba, iż posłowie, wybrani w kuryi drobnej własności, powinni byli popierać go w interesie swych wyborców. Być może, niektórym z owych posłów chodziło po prostu o zyskanie, a raczej odzyskanie zachwianej popularności w przewidywaniu blizkich wyborów, ale być może również, że oburzyło ich nareszcie samolubstwo klasowe większości, dość, że wystąpili dosyć ostro. Ma się rozumieć, żądanie ich odrzucono a pp. Lewicki i Rutowski, demokraci autoramentu gacyjskiego, i p. Wielowiejski gwałtownie wpadli na księży, zarzucając im, że chcą prowadzić politykę »czynowników rosyjskich« i że działają w spółce z czeskimi »moskalofilami«. Kłótnia była tak namiętną, że przeciwnicy zaczęli wygrażać sobie pięściami. Ponieważ wszystkie dzienniki zgodnie opisały przebieg zajścia wszelkie zaprzeczenia i sprostowania późniejsze, kiedy obie strony ochłonęły i zrozumiały, że nowy skandal do reszty kompromituje powagę Koła — nie zasługują na wiarę.

Wszystkie te skandale i intrygi tak są nędzne i wstrętne, że nawet w sferach, wyznających zasady polityczne, zgodne z poglądami większości Koła, widocznem jest niezadowolenie z posłów, którzy kompromitują własne stronnictwo i przekonanie, że są to ludzie małej miary, jeżeli takich marnych środków używają w walce. Rozterki w Kole świadczą, że nietylko posłowie liberalni, ale i niektórzy zachowawcy są niezadowoleni z polityki, którą większość prowadzi, a zwłaszcza ze sposobu jej postępowania. Niema powagi w Kole, niema zgodności w myślach i działaniu, a obawa o mandaty zwiększa rozkład i podkopuje sztucznie utrzymywaną solidarność. Jeżeli projekt reformy wyborczej wróci do Rady państwa, kto wie, czy p. Lewakowski nie będzie miał kilku naśladowców.

W zaborze pruskim wystąpiła również na porządek dzienny sprawa, która budzi niechęć do osób i kół, przywłaszczających sobie przewodnictwo w polityce narodowej. W powiecie świeckim w Prusiech Zachodnich z powodu unieważnienia mandatu posła Holtza odbędą się wkrótce wybory. Kandydat niemiecki przeszedł przed trzema laty dzięki nadużyciom, których dopuszczały się władze. Teraz jest nadzieja przeprowadzenia kandydata polskiego, chociaż wybory wypadają w porze najgorszej, kiedy znaczna część ludności wywędrowała za zarobkiem w inne okolice. Spodziewano się, że kandydatem będzie p. Kulerski, b. nauczyciel ludowy, redaktor *Gazety grudziądzkiej*, który obecnie jest uwięziony.

Tymczasem komitet centralny ogłosił kandydaturę p. Jaworskiego, nie zapytawszy wprzód o zdanie wyborców. Zawsze tak było i być powinno, że zebrania wyborców wskazują kilku kandydatów, z których następnie komitet najodpowiedniejszego zaleca. Tą słuszną zasadę pogwałcono i narzucono wyborcom p. Jaworskiego, zwolennika polityki ugodowej. W naiwny sposób niektóre pisma postępowanie komitetu usprawiedliwiają. W powiecie świeckim wielkę powagą jest obywatel ziemski, p. Parczewski, który ma wpływ na wyborców, a p. Jaworski jest uczniem politycznym p. Parczewskiego. Okazuje się więc, że p. Parczewski ma prawo narzucać ludowi polskiemu swoich kandydatów na posłów, że wola jego więcej znaczy, aniżeli wola tysięcy wyborców. P. Jaworski znowu tłomaczy się, że przed trzema laty był kandydatem, a chociaż wówczas nie przeszedł, uważa, że kandydatura jego nie straciła mocy prawnej. Słowem, panowie ci drwią sobie po prostu z opinii publicznej i z praw obywatelskich ludu, wyzyskując bez ceremonii tę okoliczność, że wybór jest wątpliwy i że przeciwnicy p. Jaworskiego i jego polityki nie zechcą wszczynać sporu, który mógłby zaszkodzić kandydaturze narodowej. Nawet umiarkowany i do zbytku hierarchii społecznej i politycznej uległy *Dziennik poznański* krytykuje postępowanie komitetu wyborczego, a niektóre pisma protestują energicznie przeciw tej szlacheckiej dyktaturze. Stosunki wyborcze w Prusiech zachodnich »zdobyły sobie taką sławę, jaką ma Galicya« — powiada *Orędownik*. Podczas poprzednich wyborów był w jednym okręgu kandydatem szlachcic, który wtedy właśnie układał się z komisyą kolonizacyjną o sprzedaż swego majątku. Prasa miejscowa, chociaż ma charakter przeważnie ludowy, nie otrząsnęła się z wpływu koteryi szlacheckiej i nieśmiało głos podnosi. Pytanie czy p. Jaworski jest zwolennikiem polityki ugodowej, czy też nie — uważają pisma pruskie za niewłaściwe, »bo nam potrzeba przedewszystkiem cichej pracy«. »Jeżeli tak mamy wybierać posłów — woła w słusznem oburzeniu *Orędownik* — to lepsza byłaby rada: zatknąć kokota na długą tyczkę, wnieść go na zebranie wyborcze i zadeklarować: to jest kandydat na okręg świecki! Na tej procedurze jeszczeby lepiej sprawa narodowwa wyszła, aniżeli gdyby zwolennik partyi dworskiej miał być w świeckiem przeprowadzony na posła.«

Istotnie, byłby to fakt niemałej doniosłości, gdyby się udało zwyciężyć w powiecie świeckim i wprowadzić do parlamentu dwudziestego posła polskiego. Ale jeżeli ten poseł popierać będzie politykę, sprawie narodowej szkodliwą, jeżeli właśnie głos jego da jej w Kole przewagę niewątpliwą — to bodaj lepiej ponieść klęskę, aniżeli wywalczyć takie zwycięztwo. Gdyby prasa miejscowa ostrzej wystąpiła, gdyby wyborcy dali uczuć p. Jaworskiemu niewłaściwość jego postępowania i zapytali go wręcz, czy godzi się na politykę partyi dworskiej, możeby zrzekł się póki czas kandydatury, chociaż wolno wątpić o tem, bo tacy urodzeni posłowie uważają »lud prosty« za maszynę do głosowania. Drugi kandydat, p. Kulerski jest tylko nauczycielem i redaktorem pisemka ludowego — wara takiemu od poselstwa. Kiedy w Bydgoszczy przed kilkoma laty postawiono kandydaturę nauczyciela p. Palińskiego, wydrwiły i ośmieszyły ją pisma, wysługujące się szlachcie.

Niektóre pisma rosyjskie poruszyły znowu sprawę stosunku rządu do duchowieństwa i religii katolickiej, na podstawie znanej książki hr. Leliwy. *Grażdanin*, mówiąc o prześladowaniu krzyżów na Litwie, o którem kilkakrotnie wspominaliśmy, zaznacza z ironią, że »nikt nigdy nie słyszał, żeby istniejące w kraju od wieków krzyże i wizerunki świętych odznaczały się jakąś polityczną nielojalnością«. Dziennik petersburski obawia się, dodajmy od siebie — obawia się dosyć słusznie, że »ta mała zapałka po 30 latach spokoju może wywołać i wzniecić pożar w kraju całym i to w takim czasie, kiedy w interesie rządu pożądanem jest usuwanie choćby najmniejszych powodów, mogących dać impuls do poruszania kwestyi narodowych i religijnych.« »Mylę się lub nie — czas to pokaże — mówi ks. Meszczerskij — lecz z głębi mego sumienia powiem: boję się tych drobnych środków, one zawsze przynoszą nieszczęście. A dla młodego naszego monarchy, życzyć należy tylko tego, co przynosi szczęście i miłość.»

Obawa wywołania pożaru, »i to w takim czasie (przed koronacyą)«, kiedy dla »młodego monarchy« wszelka awantura byłaby stokroć przykrzejszą, niż w warunkach zwykłych — dostatecznie tłómaczy powód napisania artykułu, przedrukowanego następnie z uwagami w organie ks. Uchtomskiego. Nie chcę zresztą twierdzić, że obaj arystokratyczni redaktorzy piszą obłudnie, owszem, sądzę, że oburzenie ich jest szczerem. Ludzi, należących do świata arystokratycznego i wychowanych bardziej po europejsku, niż ich ziomkowie, razić musi przykro głupia, bezmyślna brutalność politykujących czynowników. Gdyby arystokracya w Rosyi miała siłę zorganizowaną i mogła wywierać wpływ decydujący na politykę rządu, byłaby z pewnością przychylniejszą dla nas, aniżeli liberalna, albo nawet radykalna biurokracya. Ale zarówno pp. Meszczerskij i Uchtomskij, jak i inni, nieliczni Rosyanie, usiłujący niekiedy pisać bezstronnie o sprawie polskiej, grzeszą nieznajomością stosunków i brakiem konsekwentnych przekonań politycznych. Uważają oni np. prześladowanie krzyżów, jako nowy pomysł fantazyi administracyjnej, kiedy ten zakaz barbarzyński istnieje właściwie od czasów Murawiewa i w ostainich czasach gorliwiej tylko zaczęto go przestrzegać. Znaleść by można setki równie oburzających i głupich zarządzeń administracyjnych, o których z pewnością *Grażdanin* i *Pietierburskija Wiedomosti* pojęcia nie mają. P. Meszczerskij boi się głównie drobnych środków — nie drobne środki, ale system cały należałoby potępić, zasadę rządów rosyjskich w Polsce. Zniesienie tych lub owych zarządzeń żadnej zmiany nie sprowadzi, bo system dowolności umożliwia nawet najniższym organom władzy wynajdywanie i stosowanie nowych sposobów gnębienia. Te same dzienniki, które z oburzeniem mówią o prześladowaniu krzyżów, w innej sprawie zamieszczą artykuł, zalecający względem Polaków środki bardziej może ohydne i barbarzyńskie, a zrobią to dla tego, że nie znają stosunków i że poglądy redaktorów na rozmaite sprawy nie wiążą się ze sobą, nie stanowią jednej całości przekonań wyrozumowanych i odczutych. Taka np. rusyfikacya instytutu głuchoniemych i ociemniałych w Warszawie jest czynem bardziej wstrętnym moralnie, aniżeli, obalanie krzyżów przez policyę, bo w tym wypadku władza rosyjska pastwi się nad stworzeniami żywemi, nad dziećmi nieszczęśliwemi, dotkniętemi strasznem kalectwem. A gdyby nawet ten fakt poruszył ich wrażliwość, to z pewnością nie będą zdolni pojąć nikczemności całego systemu szkolnego, ogłupiającego tysiące dzieci, demoralizującego je i zwyradniającego fizycznie.

Z powodu artykułu *Pietierburskich Wiedomosti* inne pismo rosyjskie, *Wiestnik Jewropy* mowi o »systematycznem usunięciu duchowieństwa kotolickiego od nauczania religii w szkole«. W r. 1891 tylko w 154 szkołach ogólnej liczby 2863 szkół elementarnych w Królestwie, wykładali religię katolicką księża. *Warszawskij Dniewnik* odpowiada na to, że w r. 1892 komitet ministrów przyznał gromadom miejskim prawo starania się o mianowanie księży nauczycielami religii w szkołach gminnych i wiejskich. Od tego czasu podano zaledwie 94 prośby, z czego wynika, że albo gromady zadowolone są z wykładu religii w szkołach przez nauczycieli, albo księża uczyć jej nie chcą. To drugie przypuszczenie jest, zdaniem *Dniewnika*, prawdopodobniejsze, księża bowiem wolą uczyć religii w mieszkaniu swojem lub w kościele, gdzie są mniej skrępowani, niż w szkole. Objaśnienie to jest poniekąd słusznem, nie tłómaczy jednak dostatecznie usuwania się, czy też usuwania księży ze szkół wiejskich. Znamy księży, którym pozwolenia władza szkolna odmówiła. Gromady włościańskie otrzymały prawo starania się o mianowanie księży nauczycielami religii, ale wiadomo, co takie prawo znaczy. Jeżeli naczelnikowi powiatu lub straży ziemskiej lub nawet pisarzowi gminnemu nie podoba się to, zakaże po prostu podawania prośby. W każdym razie jednak fakt, podany przez *Dniewnik*, wymaga szczegółowego wyjaśnienia i mamy nadzieję, że czytelnicy nasi, znający zbliska stosunki wiejskie w Królestwie nadeszlą nam dokładne informacye w tej sprawie.

W Poznańskiem zmarła niedawno w dziewięćdziesiątym roku życia ś. p. Emilia Szczaniecka, kobieta wielkich zasług dla sprawy narodowej, wzorowa Polka i obywatelka. W r. 1831 poświęciła znaczną część majątku na uzbrojenie i umundurowanie oddziału jazdy poznańskiej, sama zaś, z przyjaciółką swoją Klaudyą Potocką, znaną w dziejach naszej literatury romantycznej, pospieszyła na pole walki i założyła lazaret, w którym pielęgnowała rannych i chorych z niezwykłem poświęceniem. Po upadku powstania wspierała hojnie emigrantów i starym żołnierzom-kalekom dawała przytułek w swym majątku. Skazana przez rząd pruski na więzienie i konfiskatę majątku, została ułaskawioną przez króla, chociaż nie chciała o to prosić. Podczas powstania poznańskiego w 1848 r. była również czynną i już w podeszłym wieku w r. 1863 stanęła znowu na posterunku i założyła nad granicą lazaret dla powstańców. Sama żyła bardzo skromnie ale nie żałowała grosza dla nędzy i na potrzeby publiczne, a wiele instytucyi ogólnego pożytku stałemi ofiarami zasilała.

Była ś. p. Szczaniecka ostatnią bodaj przedstawicielką tego wyjątkowego pokolenia arystokracyi naszej, z pierwszej połowy bieżącego wieku, które nie podobnem było ani do ojców swoich, ani do synów, odznaczało się bowiem gorącym patryotyzmem, szczerem zamiłowaniem nauki i piśmiennictwa ojczystego, podniosłem pojmowaniem obowiązków społecznych. Pełniąc narówni z innymi służbę obywatelską, nie wykazywali roszczeń do przewodnictwa i stanowisk uprzywilejowanych, które dziś w pewnej mierze dzięki ich zasługom, zagarnęli i wyzyskują mali synowie wielkich ojców.

*J. L. Jastrzębiec.*

## Z ZABORU ROSYJSKIEGO.

*Warszawa 5 maja.*

Kradzieże i rozboje w Królestwie. Złodzieje i policya. Proces policmajstra radomskiego. Sztuka w trzech aktach: akt oskarżenia i zeznania świadków; mowa prokuratora; mowa adwokata. Wyrok.

Jeżeli nasza Kongresówka nie zajmuje pierwszego miejsca w Europie pod względem ilości dokonanych kradzieży, to w każdym razie nigdzie niema tyle, co u nas, kradzieży nie wykrytych. Ludzie tu tak przywykli do tego, że na zawsze przepada to, co raz skradziono, iż bardzo często nie zadają sobie nawet trudu zawiadamiania policyi, gdy im co zginie. Mnożą się u nas kradzieże, mnożą i rozboje na wielką skalę — ostatnimi czasy mieliśmy kilka bardzo głośnych, szeroko pomyślanych szajek rozbójniczych — i nie można się spodziewać, żeby prędko nastąpiła pod tym względem poprawa stosunków.

Mieszkańcy naszego kraju o tyle się czują bezpiecznymi od złodziei, o ile mają mocne zamki i kłódki, dobre psy, o ile wreszcie sami czujnie śpią i umieją się oglądać za siebie. Nie zdarzyło mi się spotkać człowieka, któryby pod tym względem liczył choć cokolwiek na policyę.

— Policya? — każdy powie, wzruszając ramionami — ona się ze złodziejami dzieli.

»W policyi złodzieja wpuszczają jednemi drzwiami, a drugiemi wypuszczają“ — oto jedno z najnowszych przysłów polskich, którego p. Adalberg nie zamieścił w swym obszernym zbiorze. Pod tym względem istotnie niema u nas dwóch zdań i każdy mieszkaniec Królestwa, przychodzący do używania rozumu, jest święcie przekonany o kooperacyi policyjno-złodziejskiej.

Jeżeli tedy proces policmajstra radomskiego, Kiryczenki, narobił tyle hałasu, to nie dlatego, żeby świadczył on o jakimś nowym symptomacie społecznym, ale że pierwszy raz nastąpił taki zbieg okoliczności, iż trzeba było przed sądy wywlec jednę ze spraw, starannie przez rząd w cieniu ukrywanych. To, co Kiryczenko robił, nie jest dla ludzi nowością. Każdy, kto nie żyje życiem egzotycznem, kto ociera się codzień o twardą rzeczywistość naszego zbiorowego istnienia, musiał mieć do czynienia z takim Kiryczenką, ostrożniejszym tylko nieco lub szczęśliwszym, i stąd unikającym sądu.

Ta właśnie okoliczność jest przyczyną żywego zajęcia się procesem ze strony naszej publiczności: każdy jest tu poniekąd poszkodowanym, każdy w podsądnym widzi swego Kiryczenkę, strażnika, rewirowego, komisarza policyi, naczelnika straży ziemskiej lub policmajstra, który mu się dobrze dał we znaki, każdy chciałby wiedzieć, do jakiej kary kwalifikuje się ten jego Kiryczenko na wypadek, gdyby go można było pod sąd postawić....

Działacze rosyjscy, czyniący wysiłki w celu zaprowadzenia w Warszawie teatru rosyjskiego, muszą być bardzo zmartwieni konkurencyą, którą zrobił ich przedsięwzięciu drugi departament izby sądowej warszawskiej, zjechawszy do Radomia w dniu 27 kwietnia, dla rozpatrzenia sprawy policmajstra. Sztuka, którą tam dano, z hoholowskim »Rewizorem« może śmiało iść w zawody.

Składa się ona z trzech aktów i epilogu.

Akt pierwszy wyprowadza na scenę cały tłum aktorów. Główną rolę ma rotmistrz Włodzimierz Kiryczenko, policmajster radomski, będący uosobieniem etyki policyjnej rosyjskiej. Akt drugi wypełniony jest monologiem prokuratora, przedstawiciela kodeksu i zarazem Rosyan »nadwiślańskich«, co wywołuje u niego walkę wewnętrzną, jakby żywcem wyjętą z pseudoklasycznego dramatu. W trzecim wreszcie akcie przemawia obrońca Kiryczenki z wyboru, Jan Maurycy Kamiński, przedstawiciel polskiej palestry, adwokat tak zdolny, że mu to aż przeszkadza patrzeć na rzeczy ze stanowiska uczciwego człowieka i szanować swą godność.

Nie możemy się tu wdawać w szczegóły, rozejrzyjmy się tylko pobieżnie w treści sztuki.

Rotmistrz Kiryczenko oskarżony jest o nadużycia służbowe. Na ławie oskarżonych zasiadają obok niego dwaj jego podwładni: Akim Warłamow i Andrzej Głowacki, strażnicy policyjni, i dwaj przedstawiciele tej części społeczeństwa miejscowego, która chce i umie wyzyskiwać słabostki stróżów porządku, panowie Moszek Blat i Josek Chwat, pierwszy — szynkarz, drugi — muzykant. Prócz tego w sali unosi się duch zmarłego w czasie śledztwa, urzędnika policyjnego, Mikołaja Jakowlewa, jak toż śledztwo wykazało, klasycznego złodzieja i łapownika.

Co zrobił Kiryczenko?...

Oddał Radom na pastwę szajki złodziejskiej, która w biały dzień grasowała po ulicach miasta, dzieląc się z ludźmi ich mieniem. Poszkodowani nie otrzymywali żadnej pomocy ze strony policyi, przeciwnie, często spotykali się z jej strony z szyderstwem i obelgami. Skutkiem tego w ciągu niespełna 3 lat popełniono w Radomiu 770 kradzieży, ujawnionych przez władze, ile zaś pozostało nieujawnionych, to sam Pan Bóg tylko wie, bo ludzie, nie mający zaufania do policyi, przeważnie nie poszukiwali strat, gdy raz je ponieśli. Oto, co mówi akt oskarżenia:

»Bezsilna zupełnie w walce ze złoczyńcami ludność m. Radomia nie pokładała nadziei co do okazywania pomocy ze strony policmajstra i uważała za bezskuteczne szukać tam obrony; skargi bowiem mieszkańców pozostawiał po większej części bez skutku, a ze zgłaszającymi się do niego w podobnych lub innych sprawach obchodził się zwykle po grubiańsku, krzyczał na nich, a niekiedy wyrzucał z kancelaryi, odmawiając wysłuchania objaśnień. Wymyślając wnoszącym skargi, nie cofał się przed biciem i aresztowaniem bez żadnej racyi«.

Policya radomska, jak stwierdziło śledztwo, współdziałała jawnie ze złodziejami i dzieliła się z nimi zdobyczą. Gdy ktoś złapał złodzieja i do policyi przyprowadził, bywał za to doraźnie karany. Poucza o tem los niejakiego Icka Szpajzmana, który stawiwszy się ze złodziejem w policyi radomskiej, został powitany, według aktu oskarżenia, w sposób następujący:

»Wysłuchawszy zażaleń Szpajzmana, policmajster, chwyciwszy go za włosy, zaczął krzyczeć: »ja ciebie nauczę, będziesz ty do mnie złodziejów przyprowadzał, ty?...“, następnie zbił go kijem i osadził w areszcie, a nazajutrz wysłał go etapem do miejsca stałego zamieszkania, pod pozorem, jakoby Szpajzman nie miał przy sobie dowodów, stwierdzających tożsamość osoby. Tymczasem świadkowie stwierdzili, iż Szpajzman okazał paszport zaraz podczas aresztowania, przytem osobistość to dobrze znana kupcom radomskim i ciesząca się dobrą opinią.« Podobne wypadki obelg, bicia i samowolnego aresztowania zdarzały się bardzo często.

W celu łatwiejszego okradania mieszkańców Radomia, Kiryczenko ustanowił dwie uprzywilejowane osobistości, służące za pośredników między nim i publicznością. Byli to wymienieni wyżej dwaj Ajaksowie, Moszek Blat i Josek Chwat. Jak mówi akt oskarżenia, »te dwie osobistości, stanowiące, według słów strażnika ziemskiego, Grzegorza Kowtuna, wraz z policmajstrem »jedną duszę«, korzystały ze szczególnego zaufania Kiryczenki. Mieli oni do niego wolny wstęp do mieszkania w każdej chwili, gdy

innym wstęp był wzbroniony; wpływ ich i staranie odnosiły zawsze pożądany skutek«.

Korzystając z królewskiej władzy, jaką ma w naszym kraju dygnitarz na stanowisku policmajstra, Kiryczenko ponadawał swym przyjaciołom takie przywileje, o jakich w żadnym cywilizowanym kraju nie można mieć pojęcia. Gdy inni szynkarze musieli zamykać swe zakłady o 10-tej wieczorem, Blatt miał pozwolenie na handel do 2-giej w nocy, a szynkował bezkarnie noc całą, czyniąc ze swego szynku przytułek dla złodziei. W celu uprzywilejowania Blatta wydał policmajster rozporządzenie, że muzykanci, pragnący grywać na weselach żydowskich, muszą mieć jego pozwolenie, a pozwolenia tego udzielił wyłącznie Chwatowi, urzędnikom zaś swym polecił, żeby mu nawet nie meldowali próśb o pozwolenie, podawanych przez innych muzykantów. Chwat ciągnął z otrzymanego monopolu nieobliczone zyski. Inne w tym kierunku nadużycia są tak niezrozumiałe i nieprawdopodobne dla ludzi, nie znających naszych stosunków, że przedstawimy je w dłuższym opisie, zamieszczonym w akcie oskarżenia:

»W r. 1892. policmajster zobowiązał wszystkich obywateli m. Radomia do zaprowadzenia na domach i zabudowaniach gospodarskich tablic z blachy cynkowej z napisami: większe tablice z nazwiskami właścicieli i numerami domów, średnie dla domków stróżów i ustępów oraz małe z numerami dla oddzielnych mieszkań; monopol na wyłączną sprzedaż tych tablic dał optykowi radomskiemu, Lejzerowi Brylantowi, który w tym celu zawiązał spółkę z bratem rodzonym szynkarza, H. Blattem i innemi osobami.

»Niezwłocznie zapowiedziano, pod odpowiedzialnością sądową, przez policmajstra, aby wszyscy właściciele kupowali rzeczone tablice jedynie u Brylanta, w cenie rs. 5, 7 a nawet 10 za komplet, złożony z tablicy dużej, 2 średnich i około 10 małych.

»Fachowcom zaś miejscowym, którzy zwrócili się do Kiryczenki z ofertą dostarczania takiego kompletu tablic po rs. 3, surowo zabronił przyjmowania tego rodzaju obstalunków.

»Zalcbergowi, który na swoje ryzyko odlał 10 pudów takich tablic, wszystkie zaaresztował.

»W kwietniu 1894 r. Kir. wydał rozporządzenie zaprowadzenia w Radomiu jednakowych flag do wywieszania w dnie galowe. Jakkolwiek w myśl Najwyższego rozporządzenia, ogłoszonego w Nr. 45 ust. p. 1883 r., ubranie miasta dozwolone jest zwykłemi flagami z 3-ch kolorowych pasów, bez żadnych ozdób, rotmistrz Kir. zamówił w fabryce Tobjasza w Łodzi uprzywilejowane nowego typu flagi z inicyałami, i specyalnym okólnikiem, rozesłanym do wszystkich obywateli miasta, nakazał kupować je w terminie do dnia 27 go kwietnia. Zanim wyszło powyższe rozporządzenie, optyk Lejzor Brylant i szynkarz Blatt zawarli umowy z fabrykantem Tobjaszem w Łodzi na wyłączne pośrednictwo w sprzedaży flag w Radomiu, skutkiem czego Brylant poumieszczał natychmiast na ulicach ogłoszenia, zatwierdzone przez policmajstra.

»Kupiec L. Gutstadt nabył w fabryce Tobjasza za pośrednictwem trzeciej osoby na sprzedaż 100 flag. Wskutek wmieszania się Brylanta i Blatta w tę sprawę, Kir. skonfiskował flagi i zwrócił je Gutstadtowi wówczas, kiedy minął termin, obowiązujący obywateli do kupowania flag nowego wzoru. Mieszkańcy więc zmuszeni byli kupować flagi tylko u Brylanta po oznaczonej cenie.

»Wszystkim, którzyby nie chcieli spełnić tego rozporządzenia, groził spisaniem protokołu i pociągnięciem do odpowiedzialności, a lakiernikom, którzyby odważyli się przyjmować obstalunki na flagi, groził pozbawieniem raz na zawsze zajmowania się robotą. Tłómaczył przytem, że na wzór flagi fabryki tobjaszowskiej potrzeba specyalnej cenzury.

»Kiedy cena zwyczajnej flagi wynosiła 90 kop., za flagi nowego wzoru z fabryki Tobjasza Brylant i Blatt kazali płacić po 2 rs. 50 kop. mniejsze i po 4 rs. większego rozmiaru; flagi te były z lichego i nietrwałego materyału.

»Brylant prowadził listę kupujących i na czynione mu uwagi co do zbyt wygórowanej ceny odpowiadał, że sprzedaż flag prowadzi pod kontrolą rotmistrza Kiryczenki«.

Z konsekwencyą, właściwą przedstawicielom władzy rosyjskiej, Kiryczenko utrzymywał przywilej swych Blatów i Chwatów, a gdy kto chciał go naruszyć, okazywał się nieubłaganym. »Żonie muzykanta Glinkiewicza na prośby jej o pozwolenie grywania mężowi przez litość nad nią i jej dziećmi, których jedyną podporą jest ojciec, utrzymujący się z gry na skrzypcach, Kiryczenko odpowiedział: »zdechnij razem z dziećmi«.

Dla uzyskania nowych źródeł nieprawego dochodu, policmajster popełniał nadużycia służbowe wszelkiego rodzaju. Przenosił np. targ miejski z jednego miejsca na drugie; przy pomocy strażnika Głowackiego pobierał daninę za przetrzymane paszporty i t. d., i t. d.

Wszystko to się działo nie w jakimś zapadłym kącie, oddalonym od świata i od kontroli władz, ale w mieście gubernialnem Radomiu, leżącem pod bokiem Warszawy i połączonem z nią linią kolejową. Nadużycia trwały parę lat, przez parę lat ludzie głośno o nich krzyczeli po ulicach, a nikt nie myślał o położeniu im tamy.

Widzę, że czytelnik, mieszkający na zachód od Dąbrowy i Kalisza, poczyna wzruszać ramionami i tracić wiarę w to, co tu piszę. Ależ ja nic nie dodaję do urzędowego aktu oskarżenia, do faktów stwierdzonych na śledztwie i na badaniu sądowem!

Czem wytłómaczyć, że w pobliżu Warszawy, w pobliżu centru tak sprężystej administracyi, jaka panuje w Królestwie Polskiem, działy się przez parę lat bezkarnie takie, wołające o pomstę nadużycia? Czem wytłómaczyć, że władzom dopiero wtedy otworzyły się oczy, gdy mieszkańcy wnieśli zbiorową skargę? Przecię Kiryczenko nie był sam u siebie, przecie w tymże Radomiu jest rząd gubernialny, sąd okręgowy i prokuratura, jest wreszcie gubernialna żandarmerya, mająca za obowiązek nietylko tropienie uczciwych ludzi, ale i dozór nad prawidłowem postępowaniem wszelkich władz?... Kto taką rzecz objaśni? Kto będzie śmiał twierdzić, że władze o postępowaniu policmajstra nie wiedziały?

A jeżeli wiedziały, to dlaczego tolerowano osobę pana Kiryczenki, dlaczego nie oddano go wcześniej pod sąd, nie przepędzono przynajmniej, zanim przyszła ostatnia ostateczność w postaci skargi mieszkańców?...

Oto dlatego, że Kiryczenko nie jest żadnem nadzwyczajnem zjawiskiem, że jakościowo nie różni się on wcale od ogólnego typu policyanta rosyjskiego w Polsce, że tylko ilościowo trochę przeholował. Mój Boże! czyż to tak łatwo uchwycić ilościową różnicę, czy mamy tak ścisłą miarę do określenia jakie jest *maximum* łajdactw, dozwolonych policmajstrowi, jakie *minimum* wymaganych od niego, jakie wreszcie ich *optimum!* Przecię o tem nic niema w rosyjskiej konstytucyi...

Te rzeczy nieco znam. W charakterze właściciela domu stykałem się przez długi czas z policyą w stolicy kraju, w Warszawie, za idealnych rządów nieśmiertelnego Klajgelsa. Tylko dom mój stał w skromnym kącie, przy ulicy, po której nie jeździ generał-gubernator i po której nie chodzą reporterzy. Otóż naokoło mnie działo się wszystko to, co Radom widział za panowania Kiryczenki, tylko w skrom-

niejszej nieco postaci. Tak samo mieszkańcy w walce ze złodziejami nie znajdowali pomocy u policyi, tak samo się widziało stróżów porządku, chodzących na wódkę z myśliwymi na cudzą własność. A któż z właścicieli domów w Warszawie nie zna tych operacyj, jakich dokonywają władze policyjne z tabliczkami cynkowemi, które według właściwego typu wyrabia ta właśnie, a nie inna fabryka, z flagami do ozdabiania domów, na specyalnych kijach, ze specyalnie złoconemi gałkami, których według informacyi p. komisarza dostać można w tym a tym sklepie, przy tej a tej ulicy! Kto nie był zmuszony kupować w cyrkule po kilka od razu zeszycików, przeznaczonych bądź do prowadzenia jakiejś tam specyalnej kontroli legitymacyjnej, bądź do zapisywania wizyt komisyi sanitarnych, zeszycików, mających tę zaletę, że się ich potem najczęściej wcale nie używa, i tę wadę, że płaci się za nie przynajmniej dziesięć razy więcej, niż kosztuje ich wyrób! Kto z właścicieli domów i sklepów nie jest przymuszony do prenumerowania *Warsz. Gazety policyjnej*, świstka bibuły, którego cena stosunkowo do rozmiarów jest bezczelnie wysoka? kto nie płaci systematycznie łapówek — i na kim ich nie wymuszają najrozmaitszymi sposobami?...

Czytelnik zapyta: dlaczego mieszkańcy innych miejscowości Królestwa nie zrobią tak, jak zrobiono w Radomiu, i nie podadzą skargi zbiorowej?... Oto dlatego, że popierwsze nie wierzą w jej skuteczność; podrugie, że się boją, bo skarga, nie dająca skutku i nie doprowadzająca do usunięcia oskarżonego, pociąga zemstę z jego strony, (widzieliśmy to w Radomiu, gdzie Kiryczenko, dowiedziawszy się o skardze, zabrał się odrazu do prowadzenia śledztwa, w celu ukarania jej autorów); potrzecie wreszcie, że otrzymanie sprawiedliwości drożej nieraz kosztuje, niż znoszenie nadużyć, a nadużyć na przyszłość nie usuwa, bo jak się mówi u nas z rozpaczliwą rezygnacyą, »po jednym złodzieju przyjdzie drugi«.

Mieszkańcy Radomia byli zmuszeni ostatecznością. Kradzieże w biały dzień »na Wale« (tak się nazywa miejsce targu w Radomiu) doprowadziły do tego, że włościanie poczęli unikać miasta i coraz rzadziej ukazywali się w niem z produktami na sprzedaż. To już było ostatecznością. Niedość, że się handlarze radomscy musieli opłacać wszechwładnemu królikowi, ale jeszcze zaczęli tracić źródło zarobku. W perspektywie ostatniej zguby zdobyli się na niezwykłe bohaterstwo i na nadzwyczajny.. upływ grosza z kieszeni Sowitemi łapówkami pozyskali sobie obrońcę prawa w osobie wachmistrza żandarmów, Mołczanowa, i pod jego potężnym patronatem poprowadzili akcyę przeciw policmajstrowi, (Mołczanow za tę historyę został przeniesiony do innej miejscowości) i wpadli na dowcipny pomysł wniesienia zbiorowej skargi odrazu do prokuratora, do władz administracyjnych i żandarmeryi. Wobec takiego kroku ze strony 48 obywateli m. Radomia, władze zrozumiały, iż rzecz zaszła za daleko, że p. Kiryczenko przekroczył swoje *maximum*, że tak czy owak skandal jest nieunikniony, i dla ocalenia sytuacyi zdobyły się na rzecz niezwykłą, na sąd nad policmajstrem.

Rotmistrz więc Kiryczenko dostał się pod sąd nie za spółkę ze złodziejami, nie za łapówki i »legalne« wybieranie pieniędzy z kieszeni obywatelom miasta, ale za temperament, który go popchnął za daleko, za nieopatrzność, skutkiem której dopuścił aż do całkowitego zakłócenia spraw ekonomicznych miasta.

Ludzie, znający stosunki, powiadają, że na wyciągnięcie do światła sprawy Kiryczenki miała wpływ jeszcze ta okoliczność, że gubernator radomski, Majlewskij, nie był mile widziany u władz warszawskich, ze względu na swą »miękkość« wobec Polaków. Skandalu z policmajstrem użyto do wysadzenia go z zajmowanego stanowiska, co też istotnie nastąpiło.

Przejdźmy do drugiego aktu komedyi.

Na mównicę wstępuje prokurator.

»Panowie sędziowie! — zaczyna — nie mogę zataić, iż przykrem mi jest niezmiernie spełnienie mojego obowiązku. Znając was dobrze, panowie sędziowie, wiem, że wy odczuwacie mój smutek i w zupełności go podzielacie«.

Na początku zaraz oskarzyciel publiczny budzi współczucie dla podsądnego:

»W istocie — powiada — trudno nam nie żałować podsądnego. Człowiek to jeszcze młody, a życie jego całkiem jest złamane, i to nietylko jego, ale życie całej jego rodziny. Ale cóż mamy uczynić?...«

Tu przedstawiciel urzędowej moralności usprawiedliwia się, że musi oskarżać winnego, bo... tego wymaga kodeks. I poczyna bladymi frazesami, widocznie sprzecznymi z wewnętrznem jego przekonaniem i z jego uczuciem wyliczać występki policmajstra.

Oto moment dramatyczny! Prokurator wie dobrze, iż Kiryczenko nie jest zbrodniarzem, naturalnie ze stanowiska etyki *czynownikóιυ* rosyjskich, wie, że ci ludzie, z którymi się on w klubie rosyjskim spotyka i gra w karty, którzy z powagą piastują rozmaite godności, to tacy sami Kiryczenkowie, wie nakoniec, że w nim samym jest coś z Kiryczenki. Gdyby pozwolono mu dać folgę uczuciu, zażądałby on stanowczo uwolnienia nieszczęśliwego kolegi i rodaka, cierpiącego wespół z nim na »zachodnich kresach« prześladowanie ze strony „*woinstwujuszczawo polonizma*“. Ale, niestety, będąc Rosyaninem i członkiem korporacyi urzędniczej, jest jednocześnie prokuratorem i, jako taki, ze stanowiska kodeksu musi publicznie potępić nadużycia. Robi więc to, co może: w długiej mowie oskarża policmajstra, ale oskarża go bardzo miękko, wypowiadając jednocześnie dla niego współczucie, wysuwając niezbyt zręcznie rozmaite rzeczy, przemawiające na korzyść podsądnego.

Niemniej interesujący jest akt trzeci.

Przemawia znany adwokat J. M. Kamiński, ten sam który bronił niewinnych męczenników w sprawie krożańskiej. Czytelnik sądzi zapewne, że panu K. polecono z urzędu bronić policmajstra — nie, on się podjął sprawy dobrowolnie.

I temu dziwić się nie można. P. Kamiński wprawdzie, jako człowiek dobrze znający nasze stosunki, niewątpliwie zna wartość naszej policyi, wie, że cała jej działalność składa się z nadużyć, musi także mieć pewność, że jeżeli władze rosyjskie zdecydowały się postawić pod sąd policmajstra, to już musiał się on okazać dobrym gatunkiem złodzieja. Nie potrzeba na to być wielkim człowiekiem, żeby te rzeczy wiedzieć i rozumieć. Ale p. Kamiński oprócz tego, że jest niewielkim człowiekiem, jest wielkim, a raczej wielce sprytnym adwokatem. Zrozumiał on, że w sprawie, która takiego nabrała rozgłosu, można się nieźle zareklamować — jak dla adwokata, to lepiej nawet niż w krożańskiej. Ludzie się wprawdzie będą oburzali, powiedzą, że pan mecenas jest marnym człowiekiem, ale ci, co miewają sprawy kryminalne, na takie rzeczy zwykle nie zważają i w sferach, dostarczających klienteli, popularność wzrośnie.

To też użył on całej swej wymowy i talentu krętackiego, ażeby wykazać, iż nadużycia, przypisywane policmajstrowi, były niemożliwe i że podyktowała je interesowność oraz zła wola oskarzycieli.

Zadanie miał bardzo łatwe. Nie przekonał wprawdzie sędziów o fałszywości oskarżenia, ale dał im to, czego pragnęli oni, mianowicie sankcyę przedstawiciela społeczeństwa polskiego na łagodny wyrok, z góry już postanowiony.

Komedya zyskała na pełności. Pokazano widzom trzy rzeczy sprzeczne z logiką: policmajster poszedł pod sąd za

*

łapówki i grabież, rosyjski urzędnik go oskarżał, a Polak go bronił.

Trzeba mieć jednak bardzo wesołe usposobienie, żeby się tem bawić. Przychodzi mi na myśl, że ten prosty ale uczciwy mieszczanin krożański, który brał baty od kozaków za obronę swego ołtarza, który potem stawał śmiało przed sądem, jako oskarżony, czując, że powinien być oskarżycielem, który radował się, że »pan mecenas z Warszawy« stanął po jego stronie i w jego imieniu przemawiał, że ten sam człowiek mógłby być obecny na sądzie w Radomiu i słyszeć, jak pan mecenas w obronie złodzieja-policmajstra mówi z tem samem przekonaniem głębokiem:

»Nie moje słowa, ale prosta bezsilność poszlak i logika faktów pozwolą wam wrócić *cześć* i spokój człowiekowi, który może zgrzeszył życiowymi drobiazgami, ale niemniej padł ofiarą dziwnego zbiegu wypadków«.

Splunąłby z pogardą taki prostak z Kroż, i trzebaby mu było wybaczyć, bo on się nie zna na etyce adwokackiej;

Epilog sprawy godzien jest całego jej przebiegu. Kiryczenko został skazany na osiem miesięcy więzienia *bez pozbawienia praw.* Cześć mu więc, zgodnie z życzeniem adwokata, przywrócono, ponieważ zaś niezadługo będziemy mieli manifest koronacyjny, ułaskawiający wszystkich złodziei, przeto i zakłócenie spokoju, sprowadzone będzie do krótkiego bardzo czasu

Czytelnik, oburzony łagodnością tego wyroku, może sobie jedno powiedzieć na korzyść sędziów. Mianowicie, przypomnieli oni sobie w tym wypadku, że nie można zawsze się trzymać martwej litery prawa, że trzeba czasem być człowiekiem i z ludzkiego stanowiska brać rzeczy. A człowiek nie jest abstrakcyą. Jest się człowiekiem pewnego gatunku, w pewnych warunkach czasu i miejsca. Sędzia rosyjski w Polsce, jako człowiek, jest członkiem licznej korporacyi urzędniczej, opierającej swój byt na całej masie nadużyć. Czyż może on za te nadużycia kogoś karać? Z ludzkiego stanowiska Kiryczenkę ciężko skazać mógłby tylko sąd, złożony z ludzi innego całkiem gatunku, wręcz przeciwnemi żyjących pojęciami. Ale wyrok tego sądu byłby wyrokiem nie na jednego Kiryczenkę; mając być sprawiedliwym musiałby on dosięgnąć odrazu wszystkich Kiryczenków, z których się składa u nas policya, których pełno w administracyi, szkolnictwie, w zarządach kolei i innych przedsiębiorstw rządowych, a nawet w sądownictwie. Na taki wyrok trzeba jeszcze poczekać.

A teraz świeży dowód, że stosunki radomskie nie były tak bardzo wyjątkowymi.

Jednocześnie ze sprawą Kiryczenki, w Piotrkowie sąd okręgowy sądził sprawę bandy złoczyńców, która terroryzowała mieszkańców Zawiercia od r. 1889 do 1895, a więc *przez lat sześć.*

Akt oskarżenia, w streszczeniu podany w *Kuryerze warszawskim*, zaczyna się, jak następuje:

»Od jesieni r. 1889 niejaki Gewercman, faktor, dobrawszy sobie za wspólników złodziejów pobytowych, wypuszczonych z więzień i miejsc kary, młodzieńców, oddanych występkom oraz wydalonych z fabryk robotników za złodziejstwo i próżniactwo, utworzył w Zawierciu bandę, która, nałożywszy rodzaj podatku na rzemieślników miejscowych i robotników fabrycznych, groziła opornym pobiciem lub morderstwem«.

Banda ta napadała na tych, którzy odmawiali im podatku, w imię zasady, wygłoszonej przez Herszlika Gewercmana: »kto nam nie płaci podatku, tego bijemy«.

Gdy robotnicy za poradą towarzyszy, Gołębiowskiego i Sosnowskiego, zabrali się do tępienia bandytów, paru uczestników szajki w r. 1893 dostało się pod sąd. Odsiedziawszy atoli karę, w r. 1895 wykonali oni zamach na życie inicyatorów obrony. Gołębiowskiego pokłóli nożami na ulicy w biały dzień, wobec 300 ludzi, z których nikt nie pospieszył z obroną, w obawie zemsty.

Czytelnik zapyta: co wobec takiego stanu rzeczy robiła policya? Odpowiedź na to dają świadkowie, przesłuchiwani na sprawie, choć sąd prowadził badanie ostrożnie, nie chcąc kompromitować organów władzy.

Okazuje się, że robotnicy zwracali się do straży ziemskiej o pomoc, nie otrzymali jednak żadnego rezultatu. Wtedy udali się z prośbą do p. Strzeszewskiego, dyrektora fabryki.

»Jesienią r. 1894 — opowiada p. Strzeszewski — w 2 lub 3 miesiące po mojem przybyciu do Zawiercia na stanowisko dyrektora fabryki akcyjnej, robotnicy fabryczni całemi grupami zanosili do mnie skargi na bandę rabusiów, która pojawiła się w Zawierciu i gnębi ich niemiłosiernie, odbierając zarobki. Zwróciłem się o pomoc do miejscowego wachmistrza straży ziemskiej, który atoli nie przedsięwziął żadnych środków zaradczych. Wówczas utworzyłem straż z 20 ludzi, której poleciłem czuwać nad bezpieczeństwem robotników, a w dniu wypłat odprowadzać do domów słabszych z nich, zwłaszcza zaś kobiety. Pomimo to po każdej wypłacie robotnicy całemi partyami prosili, abym pozwolił im nocować w fabryce, na co, naturalnie, zgodzić się musiałem«.

Policya więc nic nie robiła, tolerując grabieże i rozboje. Gdyby nie energia p. S., który, rozpocząwszy raz walkę z rabusiami, nie mógł się już zatrzymać, ale musiał doprowadzić do ich wytępienia i zmusił naczelnika straży ziemskiej z Będzina do udzielenia pomocy, terror byłby trwał po dziś dzień w najlepsze.

Czy to lepsze stosunki, niż w Radomiu. Ta różnica, że tu można było uniknąć pociągania pod sąd policyantów, którzy w innym kraju w podobnym wypadku napewno nie uniknęliby odpowiedzialności.

Wobec podobnych faktów nasuwają się pytania: czy stosunki policyjne u nas się poprawią? co można zrobić, ażeby złemu zaradzić?...

Niewątpliwie przy dobrej woli i energii wyższych władz administracyjnych, których myśl dzisiaj zbyt jest zajęta sprawą *„objedinienija"*, ażeby mogły pamiętać o elementarnych potrzebach życia społecznego, o bezpieczeństwie mieszkańców kraju, przy pewnej umiejętności rządzenia, nie należącej do talentów narodu rosyjskiego, możnaby wiele złego usunąć. Wiele — powiadamy — przy obecnym atoli systemie państwowym rosyjskim nie może uledz zmianie rzecz zasadnicza. Dopóki ten system będzie istniał, dopóty policya będzie żyła nadużyciami.

Policyant, mający niesłychaną, nieznaną w cywilizowanym świecie władzę, mogący wydawać bez żadnej sankcyi wyższej ważne bardzo polecenia, dotyczące osób i mienia obywateli, policyant działający bez żadnej kontroli ze strony społeczeństwa i, w razie starcia z obywatelami tego społeczeństwa, majacy przed władzą wyższą zawsze niemal słuszność, z góry przyznawaną, policyant taki musi być mniej lub więcej złodziejem. Bo przecie natura ludzka jest ułomną, a policya nie rekrutuje się nigdzie z ludzi, wyjątkowo uposażonych w cnoty. Tem mniej policya rosyjska w Polsce.

***

---

## *Warszawa 6 maja.*

Ostatnie słowo cywilizacyi rosyjskiej na naszym gruncie. Ze stosunków szkolnych.

Wybornym obrazkiem stosunków obecnych w Warszawie może być następująca scena.

Wieczorem dnia 27 kwietnia zabawiała się w pewnej restauracyi położonej przy placu Teatralnym wesoła kom-

panijka oficerów pułku ułańskiego. Był to kwiat tutejszej młodzieży wojskowej, przedstawiciele najwykwintniejszej arystokracyi rosyjskiej, a mianowicie baron Braunschweig, adjutant Szuwałowa Szyszkin, hrabia Fułon, oraz dawny ich kolega, obecnie cywilny baron Mengden, syn czy synowiec b. prezesa Tow. kred. ziemskiego.

Po sutych zapewne libacyach wykwintne towarzystwo opuściło zakład w poszukiwaniu dalszych przygód. Pierwszą osobą, która na swoje nieszczęście uwagę ich na siebie zwróciła, był stójkowy, przechadzający się spokojnie na rogu ulicy.

Ani koleżeństwo służbowe, ani wspólność narodowości i munduru nie potrafiły ocalić tego biedaka od napaści. Zaczęło się od zwykłych w podobnych wypadkach »czynnych obelg«, które w wojsku rosyjskiem stanowią pierwszy akt powitalny przełożonego z podwładnym; oswojony z tą metodą stójkowy cierpliwie poddał się owej operacyi, pomimo że krew strugą lała się z twarzy.

Gdy oficerowie mieli dość tej zabawy, wymyślili inną. Rozpoczęło się mianowicie musztrowanie stójkowego. Kazali mu chodzić i obracać się w lewo, w prawo, okładając go uderzeniami pałaszów.

Zaciekawieni widokiem tym przechodnie, przystawali i przyglądali się widowisku i wkrótce zebrała się dość spora kupka ludzi. Trwało to dość długo.

Naraz pochłonięci całkowicie czynnością swoją oficerowie spostrzegli stojących opodal ludzi. Osłupieli więc, jakby zbudzeni z krwiożerczego obłędu i obawiając się widocznie doraźnej kary, w pozycyi obronnej, z dobytymi pałaszami, skupiwszy się we czterech, cofnęli się pod najbliższą ścianę. Odważni, gdy we czterech operowali ofiarę, skrępowaną dyscypliną wojskową, strwożyli się na widok kupki ludzi.

Zbyt jednak we znaki dała się publiczności warszawskiej policya, ażeby w obronie policyanta chciało się komu stawać. Ten i ów z publiczności, wyczekawszy chwilę, zabierał się ku domowi.

Wtedy to rozpoczęła się scena, której chyba kroniki żadnego innego miasta nie znały i znać nie będą. Ośmieleni biernem zachowaniem się publiczności, poczuwszy nową odwagę w żyłach, nasi bohaterowie rozpoczęli z dobytymi pałaszami gonitwę po całym placu Teatralnym. Nikt nigdy zapewne wiedzieć nie będzie, ile i jakie były ofiary tej krwawej burdy: publiczność nasza zbyt jest przekonana o bezowocności wszelkiego dochodzenia krzywdy na przedstawicielach panującej narodowości, zwłaszcza zaś na wpływowych.

Jak nam opowiadali świadkowie sceny, prawdopodobnie nie ucierpiał nikt z tych, którzy byli przy niej obecni, bo spodziewając się awantury, mogli łatwo uciec od ledwo trzymających się na nogach oficerów. Lecz zato o niczem nie wiedzący przechodnie, których znienacka napadli, mają poranione twarze i ręce; faktem jest, że jednemu odcięto pałaszem trzy palce. Dziwić się trzeba, że niema zabitych i tem tylko wytłómaczyć się to daje, że pijani, a zresztą i bardzo podobno marni fizycznie bohaterowie, nie mieli dość siły na wymierzanie mocniejszych razów.

Najsmutniejszym wszakże jest epilog tej sprawy: po dokonaniu tych czynów, dumni z odniesionego zwycięstwa, dla uświetnienia go zgromadzili się bohaterowie ponownie w innej knajpie (u Stępkowskiego) i z okien urągali zgromadzonej publiczności.

Policya zachowała się całkiem bezczynnie, a gdy publiczności zaczęło się gromadzić nieco więcej, sprowadzono stójkowych i rozpędzono ludzi, poczem na oczyszczony plac spokojnie i wesoło wyszli sami bohaterowie.

Na razie więc awantura ta, przechodząca wszelkie granice nawet zwykłych burd oficerskich, z któremi już jesteśmy oswojeni — uszła zupełnie bezkarnie. Co dalej będzie, nie wiemy, gdyż w pismach o tem wszystkiem pisać nie wolno. Podobno jednak w cyrkule policyjnym cztery osoby, śmielszej natury, zameldowały lżejsze i cięższe obrażenia i rany. Pomiędzy innemi jest i dorożkarz, którego opadli z tyłu, wskoczywszy do dorożki: ma on głowę pociętą w kilku kierunkach i jeżeli sama czaszka ocalała, stało się to już nie z winy oficerów.

Smutna ta i ohydna scena świadczy, do jakiego zuchwalstwa i rozbestwienia dochodzą u nas panowie Rosyanie, znajdujący otuchę u sfer rządowych i zachęcani nadzwyczajną skłonnością do ustępstw ze strony naszej publiczności.

Tego rodzaju nadzwyczajne wypadki nie przeszkadzają wcale prawidłowemu postępowi w działalności władz, pracujących nad prześladowaniem polskości.

Ostatnimi objawami systemu apuchtinowskiego są: 1) rozporządzenie, które inspektor szkół miasta Warszawy Sawienkow, przesłał przed tygodniem do szkoły handlowej i 2) zajście z powodu wizyty rzeczywistego radcy stanu Dobrowolskiego w szkole realnej prywatnej p. Górskiego.

Rozporządzenie, nadesłane do szkoły handlowej z inspekcyi za Nr. 1317, w dniu 13 kwietnia r. b. (starego stylu), zredagowane w inspekcyi, opiewa, żeby asystentami na egzaminach z języka polskiego byli koniecznie nauczyciele języka rosyjskiego, t. j. albo p. Benedyktow, albo p. Zauscinskij. Obaj ci panowie, ze względu na system panujący, udawać muszą, że po polsku nie umieją, wymówić się od spełnienia obowiązku nie mogą i wobec młodzieży są postawieni w śmiesznej konieczności wyrokowania o przedmiotach, na których się nie znają — i nieznajomość których poczytują sobie za zasługę.

Drugi fakt, który miał miejsce w szkole Górskiego, jest tak obrzydliwym w swych formach, że zdawaćby się mogło, iż opisywane zajście dotyczy szynku, a nie szkoły, że miało miejsce pomiędzy pijanymi kozakami, a nie odnosiło się do dygnitarzy państwowych.

Pomocnik Apuchtina, Dobrowolskij, będąc na lekcyi języka polskiego, na wykładzie nauczyciela Nitowskiego, został niemile uderzony bardzo dobremi odpowiedziami dwóch uczniów. Stąd gniew i wezwanie przełożonego szkoły, Wojciecha Górskiego, do tłómaczenia się przed oblicze Apuchtina. Pogróżki zamknięcia szkoły, gniew — objawiający się w najmniej parlamentarnych wyrazach, jak *„pan łżesz“* i t. p. oto zewnętrzna strona tej rozmowy. Należy zauważyć, iż jedyne motywy gniewu stanowiły:

1) używanie wypisów Wierzbowskiego, zatwierdzonych i zaleconych do użytku przez ministeryum.

2) porządna znajomość przedmiotu przez dwóch uczniów, których odpowiedziami nauczyciel Nitowski chciał dowieść, że uczniowie jego nie próżnują.

Zdaje mi się, że jest to jedyny fakt, iż władza oburza się na dobre postępy uczniów. Przypomina mi się proroctwo Ks. P. Skargi, który ojcom naszym groził: »A nieumiejętni dzieci wasze uczyć będą«. W danym razie jest nawet gorzej — bo uczenie naszych dzieci jest tu w rękach gorzej niż nieumiejętnych, bo w rękach ludzi złej woli, prześladujących umiejętność.

*116.*

## Z zagłębia dąbrowskiego.

### II.

Okręgi górnicze. Inżynierowie rządowi. Stosunki w okręgu dąbrowskim. Administracya i policya w Dąbrowie.

Kontrola nad prywatnym przemysłem górniczym w państwie rosyjskiem należy do inżynierów okręgowych. W tym celu całe państwo podzielone zostało na 36 okręgów górniczych, z których 3 przypadają na Królestwo Polskie, pod nazwą I, II i III okręgów górniczych Królestwa Polskiego.

I okręg obejmuje: gubernię piotrkowską, prócz powiatu częstochowskiego i południowo-wschodniej części powiatu będzińskiego; następnie — gubernie: warszawską, kaliską i płocką. Miejscem zamieszkania inżyniera okręgu I jest Dąbrowa Górnicza.

II okręg obejmuje gubernie: radomską, lubelską, wileńską, grodzieńską i kielecką, prócz powiatu olkuskiego. Miejscem zamieszkania inżyniera okręgu II jest miasto gubernialne Kielce.

Do III wreszcie okręgu należą: powiat częstochowski i południowo-wschodnia część powiatu będzińskiego gub. piotrkowskiej, oraz powiat olkuski gub. kieleckiej. Siedzibą inżyniera okręgu III jest osada Sławków w gub. kieleckiej.

Zadaniem inżynierów okręgowych w ogóle jest czuwanie nad wypełnianiem rządowych rozporządzeń w prywatnych zakładach górniczych, oraz oficyalne komunikowanie tymże zakładom o każdem nowem rozporządzeniu.

Szczegółowo obowiązki inżynierów okręgowych sformułować można w następujący sposób:

Do inżynierów okręgowych należy: 1) kontrola nad bezpieczeństwem robót górniczych i hutniczych; 2) kontrola nad zaopatrywaniem się w materyały wybuchowe, przechowywaniem i sposobem użycia tychże, wydawanie świadectw na prawo używania tych materyałów i wydawanie książek rządowych do zapisywania przychodu i rozchodu takowych; 3) dozór nad prawidłowem prowadzeniem robót pod względem technicznym; 4) próby istniejących kotłów parowych i wydawanie pozwoleń na nowe; 5) dozór nad budowlami fabrycznemi i maszynami; 6) dozór nad porządkiem i wewnętrznemi urządzeniami fabryk i kopalni, oraz kontrola najmu robotników; 7) kontrolowanie, czy zarządzający posiadają odpowiednie plenipotencye od właścicieli; 8) dozór nad prawidłowem płaceniem podatków rządowych i prowadzeniem odpowiednich rachunków; 9) wyznaczanie odwodów górniczych i 10) sporządzanie protokółów o przekroczeniach ze strony przemysłowców, oraz oddawanie wynikających z tego powodu spraw sądom, lub też władzom administracyjnym.

Według więc przytoczonego powyżej podziału Dąbrowa Górnicza należy do okręgu I i jest miejscem zamieszkania inżyniera tegoż okręgu. A więc jesteśmy, jak to mówią, przy wielkim ołtarzu, co dobroczynnie na dziejach Dąbrowy odbić się powinno. Że tak, niestety, nie jest, wina to przedewszystkiem tego ducha *„czinownictwa“*, którym wszyscy urzędnicy rosyjscy przejęci, nie uważają społeczeństwa za swojego pana, któremu służyć i którego pożytek na względzie mieć powinni, lecz przeciwnie są najpoważniej przekonani, że rząd, a społeczeństwo to dwa wiecznie wrogie obozy, służąc więc pierwszemu, drugie tylko gnębić można.

Wobec takich stosunków pomiędzy rządem a społeczeństwem, ideałem urzędnika dla tegoż społeczeństwa jest jednostka jak najbierniejsza, zadawalająca się przeświadczeniem o potędze nadanej władzy, lecz nie korzystająca z takowej. Że zaś inżynier I okręgu górniczego kr. polsk.: uchodzi za »dobrego człowieka«, jest więc osobistością całkiem bierną i obowiązki swoje traktuje ze strony formalnej. Wnikanie w treść swojego zadania, przejmowanie się interesami powierzonego mu przemysłu i jego pracowników bynajmniej na sercu mu nie leży. Po za tem obowiązki inżynierów są tak duże, a ich okręgi tak rozległe, że pomimo najszczerszej chęci, muszą oni odgrywać rolę »stracha na wróble«. Gdyby chcieli pojąć swoje powołanie i gdyby mogli tym obowiązkom podołać, przemysł nasz nie natrafiałby na takie przeszkody na drodze swojego rozwoju, z jakiemi dziś borykać się musi; nadużycia przemysłowców w stosunku do klasy pracującej musiałyby złagodnieć, a nasze osady fabryczne musiałyby inny przybrać charakter, musiałyby stać się podobniejszemi do swoich zachodnich siostrzyc. Ale inżynierowie okręgowi inny, spokojniejszy i wygodniejszy przyjęli system; ich raporty do władz wyższych zawsze sformułować można w tych dwóch ulubionych przez rosyjską biurokracyę wyrazach: *„wsio błagopołuczno“*; ich zaś stosunek do przemysłu prywatnego i przemysłowców redukuje się do roli informatorów o nowych rozporządzeniach rządowych, kontrolerów przypadających rządowi podatków, oraz statystyków, zapisujących wiadomości o produkcyi, wypadkach i t. d.

Dąbrowa górnicza, jako wieś, korzysta z dobroczynnej opieki zarządu gminnego, który w niej samej ma swoje siedlisko. Władzę wykonawczą reprezentują trzej strażnicy ziemscy z wachmistrzem na czele. Ażeby zrozumieć, o ile tego rodzaju administracya jest niedostateczną, dość będzie przypomnieć sobie, że Dąbrowa jest chaotycznie rozrzuconą na przestrzeni 6 wiorst kwadratowych wsią, a raczej osadą z trzydziestotysiączną ludnością. Uprzytomniwszy to sobie należycie, przyjdziemy do wniosku, że tego rodzaju zarząd jest raczej nierządem, i niczemu dziwić się nie będziemy. Nie będziemy się dziwili, że noc w noc popełniane tu bywają najzuchwalsze kradzieże i napady, których słabiuchne echo w prasie naszej oddźwięk znajduje; nie powinniśmy się dziwić, że dbający o swoją skórę mieszkaniec Dąbrowy w nocy, sam jeden, bez broni, za żadne skarby pójść się nie ośmieli; a jeżeli go już konieczność do tego zmusi, w każdym majaczącym w ciemnościach słupku lub krzaku rzezimieszka widzieć będzie; nie powinna nas zgrozą przejmować tego rodzaju wiadomość, że, dajmy na to, pan *Z*, wracając w nocy od pana *Y*, wpadł w głęboką na kilka sążni jamę i skręcił kark, lub, że pan *A*, potknął się o ściętą przez szanowny zarząd gminny suchą topolę, której jednakże przez miesiąc z chodnika nie sprzątnięto, no i... wybił sobie oko; nie będziemy się zdumiewali, jeżeli śledztwo wykryje, że wymarli w zagadkowy sposób mieszkańcy na kolonii *X*, spożyli mięso z krowy, chorej na karbunkuł, które im sprzedał rzeźnik *N*; nie powinniśmy również poddawać się zwątpieniu o uczciwości sług carskich, jeżeli rozejdzie się głucha wieść, tajemniczo z ust do ust krążąca, (takich rzeczy u nas drukować nie wolno), że gorliwy strażnik »Iwan« był wspólnikiem bandy opryszków i dostarczał im rewolwerów, które spokojnym mieszkańcom poodbierał; jednem słowem, niczemu dziwić się nie będziemy, lecz co rano, obudziwszy się i policzywszy swoją chudobę, serdecznie dziękować będziemy rządowi za jego dobroczynną opiekę nad nami. Tego rodzaju wymagań, jak: zamiatanie chodników, czyszczenie i dezynfekowanie rowów, wyrzucanie śmieci i odpadków nie przed domy, lecz do śmietników, pozbyliśmy się już dawno; po stosach śmieci kroczymy bez najmniejszego wstrętu, jak po kwietnikach; ostre zaś i przypominające kloakę wyziewy wdychamy całą piersią, jak perfumy. Tak, czytelniku, nie dziw się niczemu, bo dzieją się tu rzeczy, o których nawet filozofom się nie śniło. Ja już do tego stopnia zobojętniałem na ekscentryczne przejawy rosyjskiej administracyi, że nawet nie zdziwiłbym

się, gdyby gruchnęła po Dąbrowie sensacyjna wiadomość, że znany i uchodzący za porządnego człowieka pan *B*, to Pawlak, ów słynny Pawlak, który mógł wcale do Ameryki nie emigrować, lecz wybrać sobie w Dąbrowie o wiele bezpieczniejsze schronienie i tu, w pięknej z carską policyą zgodzie, owoców swej krwawej pracy spokojnie używać. Tak się przedstawia opieka rządowa nad Dąbrową pod względem administracyjnym! Jeżeli zaś, czytelniku, mój obraz wydaje ci się zbyt czarnym, to przyjedź sam do Dąbrowy; przyjedź w czasie jesiennych szarug, a będziesz mógł przyjrzeć się mojemu obrazowi w całej pełni jego uroku. Jeżeli przy tej okazyi nie zachorujesz i nie umrzesz na malaryę lub tyfus, które tu stale panują; jeżeli nie utopisz się w błocie, lub nie ulegniesz jakiemu innemu nieszczęśliwemu wypadkowi, to będziesz mógł, wróciwszy do domu, wrażenia swoje z tej podróży skreślić za przykładem Kennana w dziełku pod tytułem: »Mała Syberya na zachodnim krańcu państwa rosyjskiego«.

(*O—ż*).

## *Z ZABORU PRUSKIEGO.*

*Poznań 13 maja.*

Walka z Sokołami. Sprawa burmistrza gnieźnieńskiego. Nauka szkolna języka polskiego i spór o nią. Naśladowanie prusaków. Polakożerczość w filantropii. Wzorowa obywatelka.

Zapowiedziany na połowę sierpnia »zlot« Sokołów do Poznania, obudził czujność hakatystów, którzy podnieśli alarm w swojej prasie. *Koelnische Zeitung* w artykule p t. *„Polnische Parade“* dała hasło do napadu. Zdaniem dziennika niemieckiego niewinne igrzyska sokolskie będą »przeglądem nowych wojsk polskich«, »wielką musztrą narodu polskiego w mundurach i uzbrojeniu«. Szykują się już legiony na zagładę niemczyzny, a niebezpieczeństwa tymbardziej lekceważyć nie wolno, że »idea« Sokołów polskich jest »antymonarchiczna i antydynastyczna«.

Naturalnie, wrzawa, podniesiona w prasie, oddziałała na władzę miejscową. Pisma polskie milczą, ale po mieście krążą niewątpliwie wiarogodne wieści, że zakazano pochodu przez miasto i zbiorowego udziału w uroczystości delegatów galicyjskich, zapowiedziano, że zebrania delegatów odbędą się pod kontrolą policyjną i poufnie dano do zrozumienia komu należy, że przyjazd Sokołów górnośląskich może spowodować zastosowanie jeszcze surowszych środków.

Zarząd Sokołów z powodu insynuacyi pism niemieckich dawno już usunął oznaki zewnętrzne, które wyglądać mogły na demonstracyę polskości: zamiast orzełków na czapkach — zaprowadzono monogramy, czerwone kokardki, zamiast biało-czerwonych. Na nic się te ustępstwa nie zdały, nie uwolniły instytucyi od napaści, owszem, może raczej zachęciły do nich hakatystów. Teraz »Sokół« poznański, doprowadzony do ostateczności wymaganiami policyi, zamierza podobno odwołać się do instancyi wyższych, nawet do sejmu. Nie wiele to pomoże, ale przynajmniej sprawa wyjdzie na jaw i dowolność policyi, chociaż trochę będzie pohamowaną.

Do napaści na Sokołów mogło zachęcić hakatystów zwycięztwo, które odnieśli w sprawie z burmistrzem gnieźnieńskim, p. Rollem. Niedawno odbyła się w Gnieźnie wystawa miejscowa, na którą hakatyści napadali gwałtownie, ponieważ przy otwarciu jej oprócz przemówienia niemieckiego wygłoszono polskie i Polacy brali w niej czynny udział. Przy zamykaniu wystawy, jak w ogóle na zakończenie wszelkiej uroczystości publicznej, wznoszą obecni okrzyk na cześć cesarza, orkiestra gra t. zw. tusz, a następnie zwykle hymn narodowy niemiecki. Kapelmistrz wojskowy niepotrzebnie i w sposób niewłaściwy przypomniał burmistrzowi, że trzeba hymn zagrać. P. Roll, człowiek popędliwy z usposobienia i samodzielny, nie znoszący, żeby ktokolwiek wtrącał się w jego czynności, w dodatku, jak mówią nasi sąsiedzi wschodni, »lubiący wypić«, uniósł się i od słowa do słowa, zapowiedział kapelmistrzowi, że nie pozwoli grać hymnu. Kapelmistrz obrażony wyniósł się z orkiestrą. Z tego zwyczajnego zajścia zrobiono sprawę polityczną, p. Roll w przedstawieniu hakatystów okazał się przyjacielem Polaków i bodaj republikaninem, spiskującym wraz z nami przeciw państwu niemieckiemu i monarchii, wskutek czego władza zawiesiła go w urzędowaniu. Drobna to sprawa, ale charakterystyczna.

Termin wnoszenia podań o udzielanie dzieciom w szkołach nauki języka polskiego upływa 15 maja. *Dziennik* i *Goniec*, które zajęły się gorliwie dopomaganiem rodzicom w tej sprawie, rozdały około 1300, czy 1400 formularzy. Cyfra ta odpowiada zaledwie $^1/_3$ dzieci polskich, uczęszczających do szkół, ale dodać trzeba, że nauka języka polskiego trwa tylko dwa lata i w klasach wyższych niema jej wcale. Z powodu formularzy wywiązała się w prasie polemika pomiędzy *Orędownikiem* z jednej strony, a *Gońcem* i *Dziennikiem* z drugiej, polemika zgoła niepotrzebna, bo właściwie obie strony mają słuszność i tylko zawziętość stronnicza nie pozwala im się porozumieć. Zgodzić się można z *Orędownikiem*, że w sprawie nauki języka polskiego samopomoc ludności jest najważniejszą. Ale czyż uznając to i popierając czynnie, trzeba wyrzekać się jednocześnie wyzyskiwania tego, co prawo przyznaje. Przecie rozdawanie formularzy jest także rodzajem samopomocy, takim samym w zasadzie, jak wydawanie elementarzy, chociaż w skutkach mniej doniosłem. Z drugiej strony pisma, które główny nacisk na naukę języka polskiego w szkole kładą, popełniają błąd, lekceważąc samopomoc, która oprócz bezpośredniego ma i pośrednie, że tak powiem, polityczno-pedagogiczne znaczenie.

Stosunki pomiędzy walczącemi ze sobą stronnictwami zaostrzają się coraz bardziej. Wiadomo, że rząd nęka pisma polskie procesami Tę samą taktykę stosować teraz zaczynają zwolennicy partyi dworskiej do pism, przedstawiających t. zw. ruch ludowy. O lada drobnostkę, której nawet prostować nie warto, wytaczają nieraz sprawę, byle dokuczyć przeciwnikom. Ma się rozumieć, sąd albo uwolni oskarżonych, albo wyznaczy im niewielką karę pieniężną, ale przykrości i kłopotu z tego powodu ma niemiłe pismo dosyć. Nie mówiąc o innych procesach, zaznaczę, że redaktor *Orędownika* miał obecnie trzy sprawy, jedną wytoczył mu poseł Brodnicki, drugą poseł Cegielski, trzecią p. Maćkowski, kolega-redaktor. Ten ostatni skarży p. Szymańskiego o wyrażenia, w polemice użyte, które w prasie warszawskiej lub lwowskiej wydałyby się bardzo umiarkowanemi.

Istnieje w Poznaniu »Związek towarzystw filantropijnych«, do którego oprócz niemieckich, należą polskie towarzystwa dobroczynne. Pomimo to korespondencya prowadzona jest po niemiecku, a na walnych zebraniach panuje wyłącznie język niemiecki. Na ostatnie walne zebranie przybyła znaczna liczba Polaków, którym p. radca Zielewicz oświadczył w imieniu nadburmistrza i burmistrza, że ci panowie po polsku przemawiać nie pozwolą. Wobec tego towarzystwa polskie, należące do związku, powinny z niego wystąpić. Polskie »bractwo kwestarskie«, które teraz właśnie urządza żłobek (ochronkę) dla dzieci, postanowiło nie przystępować do związku, zrzec się zasiłku, którego magistrat mógłby mu udzielić i oprzeć się wyłącznie

na ofiarności własnego społeczeństwa. Żłobek ma być instytucyą przedewszystkiem polską i katolicką. Ponieważ nawet w instytucyach dobroczynnych wspólna praca z Niemcami okazuje się niemożliwą, słusznem jest, żeby publiczność nasza wspierała tylko swoje, polskie i katolickie zakłady, tymbardziej, że nie mogą one liczyć na żadną subwencyę.

W Pakosławiu zmarła w tych dniach w bardzo podeszłym wieku ś. p. Emilia Szczaniecka, znana w całej Polsce z patryotyzmu i cnót obywatelskich, niewiasta wielkiego serca i ofiarnej ręki, która na wszystkich polach walk narodowych od 1831 do 1863 r. niosła gorliwie pomoc rannym i opiekowała się tułaczami. Skazana przez rząd pruski na więzienie i konfiskatę majątku, nie chciała prosić o ułaskawienie »wroga ojczyzny«. Do ostatniej chwili życia interesowała się sprawami narodowemi i zachowała młodzieńczą żywość uczuć patryotycznych Jakkolwiek zmarła życzyła sobie, żeby pochowano ją w prostej, chłopskiej trumnie i nie zawiadamiano publiczności o jej zgonie, postanowiono licznie zgromadzić się na pogrzeb zacnej obywatelki. To nieposzanowanie woli zmarłej można i trzeba usprawiedliwić w naszych warunkach, bo oddanie czci pośmiertnej ś p. Emilii Szczanieckiej, jest zarazem hołdem, złożonym tym uczuciom, które ją ożywiały, tym zasadom i tej sprawie, którym tak wiernie i tak szlachetnie służyła.

*J. M.*

## *Z GALICYI.*

*Lwów, 14. maja.*

Święto majowe. Wiece ludowe. Kandydatura p. Rittnera. Wyprawa do Brazylii.

Święcenie 1. maja, które miało być powszechną demonstracyą robotniczą, liczy obecnie bodaj najwięcej zwolenników w Austryi, a najgorliwszymi z nich są, zdaje się, socyaliści galicyjscy. Praktyczni Anglicy pierwsi oświadczyli się przeciw przerywaniu pracy w d. 1. maja i przenieśli święto na najbliższą niedzielę. We Francyi nie było nigdy to »święto niemieckie« bardzo popularnem. Demokraci socyalni w Niemczech nie kładą również nacisku na obchodzenie uroczyste święta robotniczego. Podana w niektórych pismach tutejszych cyfra świętujących w Berlinie robotników — 80 000 jest grubą przesadzoną Wszystkie niemal zebrania odbyły się dopiero wieczorem, po ukończeniu pracy w fabrykach i warsztatach, a na ulicach nie było widać wcale gromad robotników, jak bywało przed kilkoma laty. Natomiast w Galicyi, gdzie warstwa robotnicza stanowi nie wielki odsetek ogółu mieszkańców, obchody w Krakowie i Lwowie przedstawiały się wcale poważnie ze względu na liczbę uczestników. Na zebraniach, zwołanych na ten dzień, zgromadziło się po kilka tysięcy ludzi. Uchwalono naturalnie żądanie ośmiogodzinnego dnia roboczego i prawa głosowania powszechnego. Przebieg zebrań był spokojny, policya zachowywała się przyzwoicie i przedstawiciele jej towarzyszyli tylko pochodowi tłumu przez miasto, nie probując przeciwdziałać tej manifestacyi.

Inaczej byłaby zapewne na prowincyi, n. p. w takich Gorlicach. W numerze poprzednim wspomnieliśmy pobieżnie o zabronieniu wiecu ludowego w tem mieście, rozpędzaniu zebranych włościan i aresztowaniu p. Stapińskiego.

Z powodu tych zajść w Gorlicach poseł Lewakowski wniósł interpelacyę do Rady państwa i sprawa będzie szczegółowo zbadaną. Jeden z podanych w interpelacyi faktów zasługuje na baczną uwagę władz i opinii publicznej. Kiedy po aresztowaniu p. Stapińskiego gromady oburzonych włościan otoczyły starostwo, »koncepista« — są w Galicyi takie tytuły — niejaki Piasecki krzyknął do żandarmów: »strzelać do tej tłuszczy!« Żandarmi mieli więcej rozwagi i zimnej krwi, a może i uczuć ludzkich, aniżeli ów koncepista, i rozkazu nie usłuchali. Pomijając stronę etyczną tego faktu, zastanowić się należy nad możliwemi następstwami wykonania takiego rozkazu. Wystrzały do bezbronnego tłumu mogłyby stać się hasłem do poważnych zaburzeń. W Gorlicach nie było wojska, dla utrzymania »porządku« i powagi władzy i gdyby nie rozwaga żandarmów i dobra wola p. Stapińskiego, który stanął w oknie i uspakajał podnieconych włościan, zajście mogło by się skończyć bardzo smutnie dla tych co je wywołali.

W innem miejscu mówimy o petycyach, wysyłanych do Wiednia z żądaniem utrzymania § 41 ustawy wyborczej, zaprowadzającego głosowanie tajne w kuryi czwartej i piątej. Odezwa, wzywająca do podawania petycyi, silnie uderza w czułą strunę naszych mężów stanu i polityków parlamentarnych, zapowiada bowiem, że w razie odrzucenia przez izbę panów tego paragrafu, stronnictwa opozycyjne w Radzie państwa wytoczą na porządek dzienny sprawę nadużyć wyborczych i w ogóle stosunków, panujących w Galicyi. Tego nie życzą sobie ani ci, którzy nadużycia tolerują, ani ci, którzy z nich korzystają, tymbardziej zaś nie życzą sobie wszyscy ludzie, którzy nie chcą wystawiać pod pręgierz wiedeński imienia polskiego.

Można się spodziewać, że członkowie Koła, których z własnej winy niespodzianka ta spotkała, zgodzą się ze zmianą ustawy wyborczej i zrozumieją, że jawne czy pokątne przeciw niej występowanie oburzy i rozdrażni lud miejski i wiejski. Roztropniejsi i mniej zaślepieni widzą już niebezpieczeństwo, wynikające z ciągłego zaostrzania stosunków wzajemnych. Na zebraniu członków sejmowego klubu rolniczego, które niedawno odbyło się we Lwowie, rozprawiano szeroko o potrzebie oddziaływania na lud. Stańczycy w Krakowie, jak nas zapewniano z wiarogodnego źródła, od kilku tygodni odbywają poufne narady, których celem jest ułożenie planu i zorganizowanie działania wśród ludu w duchu religijno-zachowawczym. Jednym ze środków, uznanych za potrzebne, ma być podobno przedsięwzięcie całego szeregu wydawnictw. Można jednak z góry powiedzieć, że wszystkie te usiłowania nie osiągną zamierzonego skutku, jeżeli stronnictwo ludowe zdobędzie się na energiczną akcyę równoległą. Stronnictwa zachowawcze w Galicyi nie zajmą się szczerze sprawami ludu, bo w polityce ich główną rolę grają dziś interesy klasowe. A gdyby istotnie utworzyło się prawdziwie zachowawcze a zarazem prawdziwie ludowe stronnictwo, stańczycy i ich sojusznicy pierwsi by przeciw niemu powstali. Awantura w Kole z posłami, którzy — mniejsza o to z jakich pobudek — ośmielili się popierać wniosek, przychylny dla włościan, świadczy o tem wymownie.

Wybory do Rady państwa, które zapewne dopiero w przyszłym roku nastąpią, będą ważną chwilą w rozwoju społecznym Galicyi. Agitacya, którą żwawo prowadzi stronnictwo ludowe, jest właściwie przygotowywaniem się do tej walki stanowczej. Wiece ludowe i sprawozdania posłów włościańskich są poniekąd szkołą polityczną młodego stronnictwa. W ostatnich czasach dwa wiece w powiatach myślenickim i wadowickim zamącone zostały wmieszaniem się księdza Stojałowskiego i jego zwolenników. Obrady dosyć burzliwe były jednakże bezcelowe. Program społeczny ks. Stojałowskiego nie różni się zasadniczo od programu stronnictwa ludowego, jeżeli jest w niektórych punktach bardziej radykalnym, to raczej w słowach i taktyce działania, aniżeli w treści. Spór toczy się o nazwę, w rzeczywistości — o wpływy. Ks. Stojałowski jest człowiekiem rozumnym i po-

litykiem zręcznym, dobrze więc wie, że nazwa »stronnictwo chrześcijańsko-ludowe« nie jest rzeczą tak ważną, żeby dla niej godziło się szerzyć waśń między zastępami, dążącymi do wspólnego celu. Powinien przeto wyraźnie zaznaczyć różnicę zasadniczą, jeżeli ta istnieje, pomiędzy programem swoim a programem stronnictwa ludowego, przedewszystkiem zaś zmienić sposób prowadzenia walki, osłabiającej obie strony, ale bodaj niebezpieczniejszej dla niego, aniżeli dla rzekomych przeciwników, natomiast wielce korzystnej dla wspólnych wrogów. Wymyślanie posłom włościańskim, podburzanie przeciw nim wyborców nie może mieć żadnego celu praktycznego. W ten sposób nie zmusi ich przecie ks. Stojałowski do złożenia mandatów, ani do zapisania się pod jego komendę, ale z pewnością uniemożliwi wspólne działanie podczas przyszłych wyborów.

W Tarnopolu odbędzie się wkrótce wybór posła do sejmu; w szeregu kandydatów staje p. Rittner, minister do spraw Galicyi. Niektóre dzienniki słusznie protestują przeciw tej kandydaturze urzędowej. Właściwie niewiadomo, na co p. Rittnerowi mandst poselski, kiedy bez mandatu został już ministrem. Podczas rozpraw o ustawie wyborczej p. Rittner, zamiast bronić interesów Galicyi, wystąpił przeciw nim i w znacznej mierze przyczynił się do odrzucenia w komisyi wniosku o powiększenie liczby mandatów z kuryi piątej. Takie postępowanie było skandalem politycznym, który tylko dzięki potulności Koła nie pociągnął za sobą przykrych dla p. Rittnera następstw. Wybranie go na posła do sejmu byłoby poniekąd wyrażeniem mu zaufania i uznaniem czynu, który powinien być przez opinię publiczną surowo skarcony.

Dowiadujemy się w ostatniej chwili, że Wydział krajowy zamierza wysłać do Brazylii dwóch delegatów — Polaka i Rusina — dla zbadania na miejscu warunków osadnictwa. Dla czego Polaka i Rusina? Zdaje się, że od kandydatów wymagać trzeba przedewszystkiem znajomości spraw emigracyjnych, następnie sumienności, gorliwości i t. d. Kwalifikacye narodowościowe są w danym wypadku po prostu śmieszne. Niechaj obaj delegaci będą nawet Rusinami, byleby znali się na rzeczy, ale jeżeli znajdą się Polacy odpowiedniejsi, to niechaj jadą Polacy. Z delegatami jechać ma ksiądz unicki, a trzej czy czterej jego koledzy wybierają się później. Prawdopodobnie biskupi brazylijscy nie zgodzą się na tworzenie parafii unickich i nie pozwolą księżom żonatym spełniać obowiązków kapłańskich. Czy może i tych księży Wydział krajowy na swój koszt wysyła? Niektórzy Rusini już protestują przeciw nazywaniu kolonii w Paranie polskiemi, twierdząc, że są one na wpół ruskie. Tymczasem w Paranie mieszka od 30—40,000 Polaków, a Rusinów w ostatnim roku dopiero przybyło 5—6,000. Naturalnie, o posyłaniu księży Polaków nikt nie myślał i nie myśli. Wiadomo, że w Stanach Zjednoczonych niektórzy księża uniccy z parafianami swymi przeszli na prawosławie. Z czasem to samo nastąpić może w Brazylii, konsul rosyjski przed paru laty myszkował już wśród osadników polskich. Na własny (?) koszt wyjechał jak mówią do Parany ksiądz ruski, znany ze swych przekonań moskalofilskich, wypada teraz wybrać jeszcze odpowiedniego delegata z grona przyjaciół politycznych p. Markowa, lub nawet p. Romańczuka...

Znaleźli się w społeczeństwie naszem ludzie, którzy z niemałem poświęceniem i kosztem zajęli się zbadaniem warunków osadnictwa w Brazylii, skierowali prąd emigracyjny do Parany i sprobowali zorganizować go, rozciągnąć nad wychodzcami jaką taką opiekę. W tej pracy nie pomagały im wcale powagi polityczne, owszem przeszkadzały raczej. P. Kłobukowskiemu odmówiono zasiłku, zmuszono Towarzystwo św. Rafała do zaprzestania działalności pożytecznej. Teraz dopiero, kiedy się okazało, że sprawa osadnictwa pomimo wielu przeszkód zaczyna się utrwalać, zjawiają się pomysły niefortunne, które mogą rezultaty dotychczasowe zniweczyć.

Badanie warunków osadnictwa nie da nic innego nad to, co już wyjaśnili p. p. Siemiradzki, Hempel, Kłobukowski, co znaleść można w listach wychodzców, w książkach, w artykułach, sprawie tej poświęconych. Natomiast bardzo ważnem jest uregulowanie przewozu wychodźców i dokładne zapoznanie się z warunkami ich sprowadzania. Jeżeli Wydział krajowy chce coś pożytecznego zrobić, na to główny powinien położyć nacisk w istrukcyach dla delegatów i wybrać ludzi odpowiednich — nie koniecznie Polaka i Rusina, ale chociażby Żyda lub Niemca, byle takiego, któryby powierzoną mu czynność umiejętnie i sumiennie wykonał.

*J. Raźmiak.*

## Z KRESÓW.

*Cieszyn 11. maja.*

Język polski w sądownictwie i szkole. Inspekcye szkolne. Dążenia czeskie i czytelnia w Boguminie.

W szkole i w sądzie język polski nie jest wprawdzie równouprawniony z niemieckim, powinien być jednak uwzględniony w szerszym zakresie, aniżeli się to dzisiaj dzieje. Dwie są przyczyny tego upośledzenia: nasza nieporadność i samowolność władz miejscowych, które lekceważą sobie ustawy i rozporządzenia ministeryalne. Przed paru miesiącami minister sprawiedliwości Gleispach wyraźnie zaznaczył, że »każdy obywalel państwa austryackiego ma niezaprzeczone prawo, aby był wysłuchany w sądzie w języku macierzyńskim i żeby na piśmienne podanie otrzymywał odpowiedź w tym samym języku«. Tymczasem w praktyce sędzia przesłuchuje Polaków i Czechów w języku ojczystym, ale na podania polskie i czeskie odpowiadają stale sądy po niemiecku.

Od początku bieżącego stulecia jezyk niemiecki panował wyłącznie w sądownictwie śląskiem, nawet ogłoszenie ustawy zasadniczej, równouprawniającej narodowości i języki w państwie austryackiem, nie wpłynęło u nas na zmianę stanu rzeczy. Dopiero rozporządzenie ministeryalne z 12. października r. 1882 L. 15847 nakazało, żeby w Cieszyńskiem podania czeskie i polskie, a w Opawskiem — czeskie przyjmowano w sądach na równi z podaniami niemieckiemi.

Niektóre sądy zastosowały się do rozporządzenia władzy wyższej i nawet odpowiadać zaczęły na podania po polsku i czesku. Ale sąd krajowy w Opawie ogłosił rozporządzenie ministeryalne za nieobowiązujące, ponieważ, przyjmując podania w tych językach, musianoby urzędować po polsku i czesku, co nie jest postanowionem. Obecnie sądy przyjmują wprawdzie podania polskie i czeskie, ale odpowiadają na nie po niemiecku. Przez pewien czas niektóre sądy powiatowe urzędowały po czesku a najwyższy sąd w Wiedniu raz rozstrzygał, że podania powinny być załatwiane w języku polskim, drugi raz rekursy polskie i czeskie odrzucał. Słowem panuje w tej sprawie chaos zupełny, z krzywdą ludności polskiej i czeskiej. Dziś Czesi zaczynają się upominać energicznie o równouprawnienie swego języka w sądownictwie. My powinniśmy jednocześnie z nimi wystąpić, nietylko żeby usiłowania ich poprzeć, ale zarazem żeby niektóre zbyt daleko posunięte żądania ograniczyć, bo utrudniają one pomyślne załatwienie sprawy. Czesi żądają bowiem i równouprawnienia języka polskiego, ale chcą też, żeby czeski na całym Śląsku był uwzględniony. W księstwie cieszyńskiem musiałby każdy urzędnik sądowy znać

trzy języki, a takich znaleść dosyć trudno. Powiaty bielski, cieszyński, jabłonkowski, skoczowski i strumieński są czysto polskie. Czechów nie wielu tam mieszka i nie ma powodu zaprowadzać dla nich w urzędach języka czeskiego. Ten ostatni powinien być tylko równouprawniony w powiatach mieszanych, bogumińskim i frysztackim, natomiast we frydeckim język polski jest zbytecznym. Naturalnie, w sądzie obwodowym w Cieszynie wszystkie języki krajowe powinny być równouprawnione.

W szkolnictwie stosunki są bodaj jeszcze gorsze. Od dwudziestu kilku lat domagamy się bez skutku zaprowadzenia obowiązkowej nauki języka polskiego we wszystkich szkołach średnich w księstwie cieszyńskiem. Jak zaś udzielaną jest nauka nieobowiązkowa, świadczy fakt, że w żadnej szkole nie ma nauczyciela, któryby zdał egzamin z języka polskiego. W gimnazyum niemieckiem w Cieszynie wykładają obecnie język polski nauczyciel Czech i katecheta gimnazyalny, którzy ani pisać, ani nawet mówić po polsku nie umieją i są pośmiewiskiem uczniów. Nie lepiej stoi nauka języka polskiego w gimnazyum i szkole realnej w Bielsku, do których uczęszcza mnóstwo dzieci z Galicyi. Władza szkolna umyślnie język polski lekceważy i stara się go ośmieszyć w oczach uczniów.

Ludowe szkoły polskie także wiele pozostawiają do życzenia, a inspekcya szkolna jest po prostu skandaliczną. Inspektor szkół ludowych polskich i seminaryum nauczycielskiego, w którem język polski jest przedmiotem obowiązkowym — nie umie wcale po polsku. Dla tego właśnie inspekcyę gimnazyum naszego oddano innemu członkowi rady szkolnej. Jakkolwiek mamy prawo pisania do wszystkich urzędów po polsku, gimnazyum polskie musi znosić się z Radą szkolną po niemiecku Wprawdzie przymus ten opiera się na uległości naszej, ale bądź co bądź taki stan rzeczy charakteryzuje dosadnie stosunki szkolne. Koniecznem jest ustanowienie oddzielnych inspektorów dla wszelkiego rodzaju szkół polskich i czeskich.

Pomimo przyrzeczenia, danego deputacyi śląskiej przez hr. Badeniego i ministra oświaty, gimnazyum polskie dotychczas nie otrzymało prawa publiczności. Niewątpliwie rada szkolna umyślnie sprawę przewleka i pragnie zapewne odroczyć ją do jesieni, żeby część kandydatów, którzy do gimnazyum polskiego po wakacyach zgłaszać się będą, zniechęcić lub odstraszyć.

Niedołęstwo nasze, a raczej bojaźliwość nadmierna ułatwiają Niemcom utrzymanie stosunków istniejących. Czesi daleko więcej niż my zyskali i sięgają po nowe zdobycze, chociaż mniej ich na Śląsku, aniżeli Polaków. Nie występują oni przeciw nam wrogo, owszem, zwykle zgodnie z nami działają, ale, opierając się na wątpliwem prawie historycznem i działając z wielką energią, pragną narzucić całemu Śląskowi charakter czeski. W Cieszynie, a zwłaszcza w powiatach bogumińskim i frysztackim ogarniają coraz bardziej wpływem swoim ludność polską. Z tego względu nabiera donioslości fakt założenia kółka rolniczego i czytelni w Boguminie, na zachodnim krańcu siedzib naszych. Publiczność polska, podróżująca zagranicę, zna Oderberg, ale nie wielu wie, że ta nazwa niemiecka oznacza nasz Bogumin. Czytelnia bogumińska odwołuje się do ofiarności redakcyj pism polskich i rodaków z innych dzielnic z prośbą o poparcie, którego istotnie temu posterunkowi kresowemu potrzeba, bo zagrażają mu Niemcy i Czesi. Dalej jeszcze na zachód, w Ostrawie Morawskiej istnieje czytelnia polska i wychodzić zaczęło pismo *Kresowiec*, ale jedno i drugie przeznaczone są głównie dla emigrantów, górników z Galicyi, bo ludność jest już tam czeską.

Wspieranie czytelni polskich na kresach jest sprawą ważniejszą, aniżeli zasilanie innych instytucyi narodowych. Można dowodnie wykazać, że nie tyle warunki polityczne i ekonomiczne, ile bierność umysłowa i niższość kulturalna są przyczyną naszego upośledzenia. Lud polski jest u nas i wogóle na kresach zachodnich politycznie uświadomionym i dojrzałym społecznie, ale nie rozbudziła się w nim jeszcze dusza polska, myśl polska. *Verus.*

---

= *Gazeta ludowa.* Wychodząca od czterech dopiero miesięcy *Gazeta ludowa*, przeznaczona dla Mazurów-ewangelików, narażona jest na przykrości i prześladowania, z różnych stron przeciw niej skierowane. Ta zawziętość na pismo, prowadzone bardzo umiarkowanie i ostrożnie, świadczy o ważności zadania, które ono spełnia. Pisaliśmy już poprzednio o badaniu przez władzę redaktora *Gazety ludowej* p. Bahrkego dlaczego pismo polskie wydaje, od kogo otrzymał na ten cel pieniądze, i t. p. Obecnie dowiadujemy się, że pociągnięto p. Bahrkego do odpowiedzialności sądowej za artykuł o stosunkach religijnych na Mazurach. Konsystorz ewangelicki obraził się na *Gazetę* za twierdzenie, że germanizacya osłabia uczucia religijne ludności ewangelicko-polskiej i prowadzi do sekciarstwa lub do socyalizmu Istotnie rozmaite sekty, dawniej wśród Mazurów nieznane, zyskują teraz wielu zwolenników w tych stronach, krzewi się zwłaszcza baptyzm, jak wiadomo, mający radykalny charakter społeczny i polityczny.

Z naszego stanowiska wzrost sekciarstwa wśród Mazurów nie jest wcale objawem dla sprawy narodowej groźnym, jeżeli np. baptyści uwzględniają język polski, który kościół ewangelicki lekceważy. Naturalnie, *Gazeta ludowa* ma zdanie odmienne i, stojąc na stanowisku prawowierno-ewangielickiem, sekciarstwo potępia i ostrzega duchowieństwo, żeby swojem postępowaniem niebezpieczeństwa nie powiększało. Za te przestrogi, należycie uzasadnione — pozwano redaktora do sądu.

Jednocześnie na konferencyi pastorów i nauczycieli w Ełku odezwały się głosy, potępiające działalność *Gazety ludowej*, ma się rozumieć za jej charakter narodowo-polski, za domaganie się nauki języka polskiego, przeciwdziałanie germanizacyi i t. d.

Życie publiczne na Mazurach nie jest wcale rozwinięte, nakłaniać więc zaczęła *Gazeta* czytelników swoich do zakładania towarzystw polskich, co znowu ściągnęło na nią napaści pism niemieckich.

Trzeba znać dokładnie stosunki, w których *Gazeta ludowa* swoją pożyteczną działalność rozwija, ażeby ocenić właściwie znaczenie powyższych faktów. Młode pismo odważnie stawia czoło tym przeciwnościom, silne poparciem szczerem swych czytelników. Na wiadomość o oskarżeniu redaktora czytelnicy *Gazety* pospieszyli z wyrażeniem swych uczuć dla pisma, które uczciwie interesów ich broni. *Gazeta ludowa* zyskuje wciąż nowych abonentów a zarazem przeświadczenie, że może liczyć na swoich czytelników we wszelkich okolicznościach. Ta łączność wzajemna, wymownie dziś już stwierdzona, pozwoli panu Bahrkemu śmielej zdążać do celu, który pracy swej postawił, i rozszerzać zakres swej działalności.

= *Niema Polaków!* Wychodzący w Raciborzu niemiecki *Anzeiger* podaje wiadomość o zajściu, stanowiącem ciekawy przyczynek do charakterystyki stosunków górnośląskich. Pismo to powiada:

»Na swe stosunki mocno dotkliwą, ale zupełnie zasłużoną pamiątkę otrzymał od sądu ławniczego w Katowicach jako świadek przesłuchiwany cieśla Bugiel z Zabrza. Stanąwszy przed stołem sędziowskim, oświadczył z góry, że nie chce mówić po niemiecku, tylko po polsku. »Czy mnie

pan nie rozumie, — zapytał go przewodniczący — gdy mówię do pana po niemiecku? Przecież mi pan dajesz odpowiedzi zupełnie stosowne«. »Ja rozumiem, — odpowiedział Bugiel, — ale chcę mówić po polsku, bo nie jestem Niemcem«. »Czy pan jesteś Rosyaninem? — pytał teraz dalej sędzia ławniczy, — co zacz pan jesteś?« »Jestem Polakiem«, — odpowiedział B. »U nas są tylko Niemcy, Polaków żadnych nie ma, a przez swe zachowanie się dopuściłeś się niestosowności przed sądem«, — oświadczył teraz przewodniczący. Bugiel zeznawał następnie tak płynną niemczyzną, jak się nader rzadko słyszy u ludzi ze wsi. Sąd skazał za tę »niestosowność« świadka Bugiela na karę porządkową w wysokości 6 marek, lub 2 dni więzienia«.

Zdaje się, iż panowie Niemcy coraz częściej będą zmuszeni twierdzić, że na Śląsku nie ma Polaków, i coraz częściej życie będzie zadawało kłam temu twierdzeniu.

= *Misye niemieckie w Raciborzu.* Celem misyj jest wzmacnianie ludności w zasadach wiary, wydaje się więc rzeczą naturalną, konieczną, żeby odbywały się w języku dla wszystkich zrozumiałym. Ale germanizatorzy duchowni nie liczą się na Śląsku z wymaganiami logiki i sprawiedliwości i dążą gorliwie do zastąpienia w kościele języka polskiego niemieckim. W powiecie raciborskim liczącym z górą 140.000 mieszkańców większość przeważną stanowi ludność polska. Parafia raciborska ma około 15.000 wiernych, z których co najmniej połowa przypada na Polaków z miasta i Nowych Zagród. Pomimo to misye, urządzone w miesiącu ubiegłym w Raciborzu, były wyłącznie niemieckiemi. Parafianie polscy, którzy z początku licznie na misye się zgromadzali, zaniechali później wszelkiego w nich udziału. Z kwitkiem odchodzić musieli od konfesyonałów, bo misyonarze (Redemptorzyści), oświadczali zgłaszającym się, że ani słowa po polsku nie rozumieją i tylko po niemiecku spowiadać mogą. Ponieważ Polacy ani ze spowiedzi, ani z nauk, po niemiecku wygłaszanych, korzystać nie mogli lub nie chcieli, spowiednicy misyonarze po kilka godzin nieraz czekać musieli na pobożnych Niemców. Ci ostatni nie potrzebują zresztą misyi, bo ich potrzeby religijne hojnie są zaspakajane. W głównym kościele w Raciborzu w nabożeństwie dodatkowem panuje niepodzielnie język niemiecki. Niema już tam dziś ani kazań, ani śpiewów polskich i tylko nazwa jednej kaplicy — *polnische Kapelle* przypomina, że niegdyś było inaczej. Biskup Kopp odwiedził podczas misyj Raciborz i chociaż lud polski zgromadził się licznie na jego powitanie, wygłosił mowę tylko po niemiecku, nie kazał jej nawet na język polski przetłómaczyć, jak dawniej bywało.

Nic dziwnego, że Polacy ze Śląska pruskiego jeżdżą nieraz gromadnie na rekolekcye i ćwiczenia duchowne do Krakowa, co się mocno niepodoba nietylko świeckim, ale i duchownym germanizatorom. W danym wypadku można powiedzieć nawet, że niema złego, coby na dobre nie wyszło, bo pobożni Ślązacy, szukający w Krakowie przedewszystkiem zaspokojenia potrzeb religijnych, jednocześnie wzmacniają się tam w poczuciu swej polskości i łączności narodowej.

## *Z WYCHODZTWA I KOLONII.*

*Rapperswyl w maju.*

Mauzoleum Kościuszki. Setny katalog. Kilka słów o Henryku Bukowskim.

Sprawa mauzoleum, w którem ma być złożone serce Tadeusza Kościuszki, wyszła ze stadyum teoretycznych projektów i roztrząsań. Na jesieni roku zeszłego zebrało się w Rapperswylu trzech członków rady muzealnej, mianowicie dwu wiceprezesów: pp. Bukowski i dr. Lewakowski, oraz kontroler pułkownik Z. Miłkowski, w celu obrania najbardziej odpowiedniego miejsca w zamku na owo mauzoleum. Jednocześnie przybyli do Rapperswylu, zaproszeni przez p. Bukowskiego artyści malarze pp. B. G., J. S., architekt polak p. S. N. i miejscowy budowniczy p. Ksawery Müller. Wszyscy zaaprobowali jednogłośnie myśl wiceprezesa Bukowskiego, ażeby zbudować mauzoleum w głębi dziedzińca zamkowego, naprost pomnika. W tem miejscu wysokie mury, otaczające podwórze, biegnąc ku sobie pod kątem, łączą się za pomocą półokrągłego frontu wieży, która wspiera i zamyka dziedziniec ze strony północnej. Wieża ta stała dotąd pustką. Małe drzwi prowadziły z podwórza do jej wnętrza w kształcie okrągłego lochu. W odległości dziesięciu kroków przed wejściem wznosi się pomnik z jego orłem, zrywającym się do lotu i godnie harmonizować będzie ze świątynią, mieszczącą serce bohatera. Architekt p. S. N. wykonał dwa projekty mauzoleum, różniące się pod względem sposobu oświetlenia wnętrza. Wykonał również projekt swój, oraz zarys techniczny miejscowy architekt p. Müller, p. J. S. i inni. Ogółem rada muzealna miała do rozpatrzenia pięć projektów mauzoleum. Przyjęty został projekt p. S. N. z małemi zmianami w rysunku wejścia, które polecono architektowi Müllerowi zmodyfikować o tyle, ażeby harmonizowało ze strukturą łuku, panującą w muzeum. P. Müller, któremu powierzono również całkowite prowadzenie robót, wykonał plan owego wejścia, zachowując zresztą główne rysy pomysłu p. S. N., i przystąpił do robót, jak dotąd, ograniczających się na przebijaniu odwiecznych murów, obmurowywaniu okien itd. Mauzoleum składać się będzie z pewnego rodzaju portyku, czy przejścia i samego wnętrza, do którego dwa okna wprowadzać będą światło. Po środku na marmurowej podstawie, którą będzie można okrążyć, stanie urna. Jeden z członków rady zgłosił się z chęcią ofiarowania urny ze szwedzkiego porfiru, ale urna ta uznaną została za zbyt skromną; natomiast delegacya rady muzealnej przyjęła i poleciła do wykonania projekt artysty rzeźbiarza z Paryża, p. T. Mieliśmy sposobność widzieć rysunek i fotografię owego projektu. Po prawej stronie urny geniusz zdejmuje zasłonę z wizerunku Kościuszki, nad którym widnieje napis: *Resurge Polonia*, niżej orzeł z rozpostartemi skrzydłami zrywa się do lotu.

Ilekroć potrącić przychodzi o muzeum rapperswylskie, zawsze nasuwa się pod pióro nazwisko p. Bukowskiego. W tej chwili leży przed nami setny numer jego katalogu p. t.: *Catalogue d'une précieuse collection d'anciens tableaux de diverses écoles faisant partie du cabinet de feu C. J. Fahlcrantz... avec 46 reproductions en autotypie... Stockholm chez H. Bukowski 1896.8⁰.* Na pozór wydawaćby się mogło, że katalog antykwarski nie zasługuje na szczególne wyróżnienie. Ta setka numerów katalogu jest na pierwszy rzut oka tylko niezmiernym regestrem druków, medali, zabytków, dzieł sztuki i t. d. Tymczasem katalogi H. Bukowskiego mają dla zakładów, które zbiorami swymi zasilał, ogromne znaczenie. Maluje się w nich nietylko historya ogromnej pracy, ale także zapisane są dzieje mnóstwa druków i pamiątek polskich, które z ukrycia i z obczyzny wydobyte zostały i oddane ku wspomożeniu naszej kultury. Dosyć zresztą wymienić z szeregu tych katalogów takie, jak *„Samling af Svenskt och Utländiskt Sedelmynt... bildad af H. B-i. Stockholm 1886*, albo jak *Förteckniug öfver en Boksamling i olika ämnen af H. B-i. Stockholm 1887*, (z którego osobna odbitka w liczbie 22 egzemplarzy wydaną została p. t.: *Katalog rzadkich druków polskich ze zbiorów H. B. w Sztokhol-*

*mie...)"* — ażeby określić znaczenie tych katalogów dla obcej i naszej nauki. Niektóre z nich, jak np. katalog zbiorów Bomans'a, albo Krzysztofa Eichhorna z r. 1890 i 1891 są zarówno pod względem układu, jak i pod względem typograficznym wzorami tego rodzaju wydawnictw. Ukazanie się setnego katalogu Bukowskiego dało powód uczonym szwedzkim do uczczenia naszego rodaka bankietem, w czasie którego p. Hildebrand, archiwaryusz państwa, znany archeolog i etnograf, podniósł jego zasługi dla Szwecyi. Ponieważ wydanie setnego katalogu przypadło w roku bieżącym, który jest zarazem dwudziestym piątym z kolei ofiarodawstwa H. Bukowskiego dla muzeum narodowego w Rapperswylu, uważamy tedy za słuszne i z naszej strony parę wyrazów o jubilacie powiedzieć.

Już w szkołach H. Bukowski odznaczał się skłonnościami kollektorskiemi. Na uniwersytecie w Moskwie oprócz *Swoda zakonow* studyował litografowanie i sztycharstwo, był wydawcą podobizn bohaterów walczącej Polski, litografowanych potajemnie przez pułkownika Dłuskiego. Litografie owe sprzedawano na Litwie, a zysk obracano na utrzymywanie i kształcenie w szkołach synów chłopskich z Litwy i ze Żmudzi. Gdy wybuchło powstanie, litograf i rysownik został dowódzcą, a wydawca prostym żołnierzem. Bił się dobrze, jak jego pułkownik zaświadcza, i zarówno w dobrych jak złych potrzebach był na placu. Gdy w litewskich i żmudzkich lasach zostały tylko nieme, skrwawione mogiły, — znalazł się w r. 1864 na ulicach Sztokholmu. W ciągu długiego czasu błąkał się po cudzem mieście, szukając zarobku, a gdy ostatni grosz wydał, — przymierał głodem. Szczęśliwy traf wprowadził go do muzeum Hammera i nastręczył mu pracę. Odtąd pracował po 16 godzin na dobę za kilkanaście koron miesięcznie. Ta niezmordowana, nieustająca praca weszła mu w nałóg, w krew niejako, stała się jego temperamentem. Już w r. 1871 zaczął posyłać druki, które udało mu się wykupić po antykwarniach, do świeżo wówczas założonego muzeum w Rapperswylu. W roku 1887 z okazyi ukazania się pracy o szwedzkich i zagranicznych banknotach — pisał *Illustrerad Tagbladet* (Nr. 1 z r. 1887): »Kto przechodzi późno w wieczór ulicą Arsenalską około domu Nr. 2 i widzi światło na pierwszem piętrze w lokalu p. Bukowskiego, jarzące się często aż do rana, omyliłby się bardzo, gdyby przypuścił, że właściciel lokalu spędza czas na zabawie, lub przemyśliwa nad powiększeniem swoich bogactw. Tak nie jest. Siedzi on przy świetle lampy, zagłębiony w badaniach nad przedmiotami wielkiej często wartości dla naszej nauki i historyografii, i tak czas spędza przy pracy, gdy naprzeciw w lokalu wielkiego towarzystwa panowie wstają od stołów gry. Pan Bukowski więc jest nietylko najpierwszym antykwaryuszem na północy, miłym w obejściu i prawdziwie wykształconym człowiekiem, jest on nadto uczonym i wielce pożytecznym dla Szwecyi badaczem. Aczkolwiek jest w naszym kraju cudzoziemcem, kocha przecież naszą starą kulturę i ma sobie za chlubę dopomagać do rozjaśnienia dziejów Szwecyi, która jest dla niego jakby drugą ojczyzną«. W tymże czasie pisał o nim Dr. Karol Estreicher, którego o względy dla człowieka, stojącego na przeciwległym biegunie wyobrażeń politycznych i społecznych, posądzić nie można, — co następuje: »Pan Henryk Bukowski archeolog w Sztokholmie uczynił Bibliotece Jagiellońskiej, Muzeum Narodowemu w Krakowie i Gabinetowi archeologicznemu wspaniałe podarunki z dzieł i rycin. Na licytacyi zakupił za wysoką sumę wszystkie *polonica* szwedzkie, aby je krajowym instytucyom przekazać. Sama biblioteka jagiellońska otrzymała dzieł 44, broszur 336, map 4. Między temi są nieoszacowanej wartości w całej prawie pełni szwedzkie »kriegsrelationen«, u nas zupełnie nieznane, a do historyi zatargów szwedzko-polskich niezmiernej wagi. Pan Bukowski jest świadectwem, czego dokonać może silna wola. Przed 25-ciu laty puścił się Litwin w świat sam jeden, bez grosza, bez znajomości języka. Oddał się archeologii i bibliografii nieznanego sobie narodu i oto dzisiaj jest zawołanym na całą Szwecyę numizmatykiem, bibliografem, znawcą dzieł sztuki, dobił się wielkiej powagi i znaczenia naukowego w obcym kraju — i t. d.«.

Od r. 1887 ileż to do zbiorów rapperswylskich i innych w kraju przybyło darów cennych, niekiedy nadzwyczajnej wartości. Nie mając zamiaru przeładowywać cytatami niniejszej wzmianki, pragniemy dać miarę ofiarności H. Bukowskiego dla muzeum w Rapperswylu na następującym przykładzie. W roku bieżącym ukończony został w bibliotece katalog druków starych (w. XV, XVI, XVII). Zawiera on 1216 tytułów dzieł polskich, *polonica* i obcych. Otóż w tej liczbie darów — H. Bukowskiego jest z górą tysiąc. Są tam inkunabuły polskie, kilka bardzo rzadkich pism polemicznych z czasów Zygmunta III, jeden druk szwedzki, odbity w Krakowie, którego tylko cztery egzemplarze znał bibliotekarz Klemning, a co najważniejsza, są druki *polonica* z czasów wojen szwedzko-polskich, nie wymienione dotąd w bibliografii Karola Estrejchera, druki holenderskie, traktujące o Polsce, pisma ulotne i t. d. Taki sam mniej więcej stosunek panuje we wszystkich kategoryach zbiorów. Pod względem jakości te dary stanowią istotne bogactwo muzeum. Dość wymienić takie malowidła, jak portret Władysława IV, pędzla Rubensa, ogromny zbiór sztychów Falka, rycin historycznych i rysunków, zbiór medalów, monet, pamiątek historycznych i t. d. Pan Bukowski podźwignął muzeum, chwiejące się w chwili śmierci założyciela, hr. Władysława Platera, a dziś doprowadził do tego, że wydany został Album Muzeum t. IV., zawierający życiorys Tadeusza Kościuszki — i z niesłychaną, zaiste obywatelską wytrwałością usiłuje stworzyć z niego instytucyę naukową.

Spełniając tak sumiennie obowiązki dobrego syna ojczyzny na tułactwie, pogrążając się nieustannie w przeszłości dawno minionej, nie zapomniał p. Bukowski o duchu czasu, wiecznie naprzód idącym. Czytaliśmy niedawno jego list do posła Bojki. Kiedy urzędowi »demokraci« galicyjscy wzywają w swych organach żandarmów do poskromienia ruchu chłopskiego, kiedy prześcigają samych stańczyków w szczuciu na posła Lewakowskiego, stary powstaniec z dalekiej ziemi zwraca się z pozdrowieniem do tego nowego ruchu. Jego prawe i nieomylne serce uczuło, że ten ruch dźwigają te same święte nadzieje, które w lasach litewskich wybijano z serc moskiewskiemi kulami.

*Ma-z*

= *Robotnicy polscy w Budapeszcie.* Na przedmieściu Steinbruch przebywa około 10.000 robotników ceglarskich Polaków i Rusinów. Warunki ich bytu są bardzo ciężkie, bowiem od 4 rano do 8 wieczorem muszą pracować za płacę 70—80 centów, śpią w barakach wilgotnych lub na piecach, żywność każą im kupować w kantynach fabrycznych. Socyaliści polscy w Peszcie zwołali w kwietniu zgromadzenie robotnicze, na które przybyło kilka tysięcy ludzi. Uchwalono święcenie 1 maja. W dniu oznaczonym zgromadzili się tłumnie robotnicy polscy na placu fabrycznym i oczekiwali spokojnie na delegatów, którzy mieli ich zaprowadzić na miejsce ogólnego zebrania. Tymczasem fabrykanci i majstrowie zaczęli kijami napędzać lud do roboty, a kiedy nie mogli sobie z tłumem poradzić — wezwali policyę. O 9 rano przybył oddział policyi konnej i odrazu uderzył na bezbronnych, rąbiąc szablami tych, którzy nie chcieli lub nie mogli uciekać. Poraniono 50 ludzi. Na szczęście dosyć wcześnie zawiadomiono o tem ministra, który telefonicznie rozkazał policyi cofnąć się i nie tamo-

wać pochodu przez miasto. Kilkuset ludzi przeszło przez miasto do miejscowości Zuglo, gdzie owacyjnie przyjmowali ich robotnicy czescy, węgierscy i niemieccy.

Nazajutrz przybył do Pesztu p. Lewakowski i kiedy dowiedział się o wypadku, zrzucił strój narodowy, przywdziany na otwarcie wystawy i odmówił udziału w uroczystości, natomiast wraz z przedstawicielem towarzystwa robotniczego polskiego *Siła* udał się ze skargą do prezesa ministrów.

## *PRZEGLĄD PRASY POLSKIEJ.*

= Z powodu 25 letniego jubileuszu istnienia stronnictwa katolickiego w parlamencie niemieckim, *Dziennik poznański* ocenia zasługi jego z polskiego punktu widzenia i zaznacza:

„Zachodziły i zachodzą jeszcze, niestety, mianowicie na Śląsku, w Prusach Zachodnich i na Warmii pewne nieporozumienia i spory pomiędzy Polakami a centrum, lecz sądzimy, że możemy to uważać jako waśń domową, którą uda się usunąć przy wzajemnem wyrozumieniu i dobrej woli, gdy centrum się przekona, że ludności polskiej o nic więcej nie chodzi jak o obronę swych praw językowych, politycznych i narodowych, których przecież centrum także broni w imię hasła „za prawdę, wolność i prawo".

Wyrażenie »ludności polskiej o nic więcej nie chodzi, jak o obronę swych praw politycznych i narodowych« nie ma żadnego określonego znaczenia, może bowiem oznaczać zarówno dążenie do samodzielnego bytu państwowego, jak i bardzo skromne żądanie zmiany istniejącego stanu rzeczy. Dodatek »o nic więcej« pozwala przypuszczać, że *Dziennik* prawa narodowe i polityczne pojmuje w znaczeniu bardzo ograniczonem. Jeżeli tak jest, to zapewnienie jego grzeszy nieszczerością, bo ludności polskiej idzie o coś więcej, anileli niepowołani przedstawiciele jej dążeń i interesów głoszą. Jaśniej i szczerzej określa swoje stanowisko *Katolik*:

„Centrum opiera się przedewszystkiem na ludzie katolickim, a więc z natury rzeczy powinno być partyą ludową. Było też nią, a jeżeli nie brakło starania, aby z niej co innego zrobić, pocieszyć się możemy nadzieją, że przeważająca część posłów nie dopuści wypaczenia kierunku a centrum pozostanie i w drugiem dwudziestopięcioleciu partyą ludową.

„Jubileusz centrowej partyi, to zarazem jubileusz ruchu ludowego na G. Śląsku. Dopiero wybieranie posłów do centrum poruszyło nasz lud do ostatnich głębin. Bogu dzięki za ten ruch, bo stał on się dla ludu pobudką do samodzielnej myśli i politycznego życia. Ztąd w dalszem następstwie wyrasta ruch narodowy, uprawniony, bo chrześcijański, silny, bo świeży i młody, ruch przyszłości, bo na prawie boskiem oparty.

„Nie brak głosów twierdzących, że ten ruch podkopuje byt partyi centrowej. Rzadko kiedy powiedziano niesłuszniejsze słowo. Nie do rewolucyi, ani przewrotu dąży ruch ludowy, ale jedynie do tego, ażeby się sprawiedliwość stała ludowi polskiemu na Śląsku. Ruch ludowy walczy za prawo do życia i rozwoju dla ludu polskiego, za wolność dla mowy i narodowości polskiej; walczy za tę samą prawdę, co centrum, gdy żąda równouprawnienia, którego nie mamy. Jakże ruch ludowy sprawiedliwy mógłby zagrażać partyi, skoro takowa podług tych samych zasad postępuje, jak ruch ten?"

Jeżeli centrum zostanie nadal stronnictwem demokratycznem — nie znajdzie w polskim ruchu ludowym przeciwnika — zapewnia *Katolik*, w przeciwnym zaś wypadku nastąpić musi zerwanie sojuszu. Dzisiaj już na Śląsku stosunek wzajemny jest mocno naprężony z winy katolików niemieckich.

= Z powodu uwag naszych o polityce polskiej w zaborze pruskim, *Goniec wielkopolski* daje nam, jak powiada, lekcyę »abecadła politycznego«. Nie dla polemiki z pismem poznańskiem, z którem zresztą zgadzamy się w wielu zasadniczych sprawach, ale dla lepszego wyjaśnienia punktów wątpliwych, przytoczymy tu uwagi *Gońca* o *Przeglądzie Wszechpolskim* z naszymi komentarzami.

„W zasadzie jest on przeciwnikiem polityki abdykacyjnej, przeciwnym także polityce skarg i protestów — tak jak gdyby *skargi a protesta* jedno znaczyły. Mówi on tedy, że potrzeba spróbować innej drogi, któraby nie była równie zawodną i jałową jak polityka ugodowa. — Ale za całą radę daje tylko posłom naszym tę wskazówkę, żeby oskarżenia swoje popierali wiarogodnymi dowodami i na tym sposobie walki zapowiadali sobie jakiś skutek.

„Sam jednak przyznaje, że nie zmieniłoby to polityki rządu w sprawie szkolnej.

„Jaki tedy rezultat tej rady? Jaką politykę zacząć teraz uprawiać?

„Układać się nie trzeba, nie trzeba się skarżyć nawet — trzeba tylko oskarżać.

„A jak się oskarży i niczego nie wskóra?

„Oskarżać — mieć słuszność, a potem co? — Dostać figę i krzywdę schować do kieszeni?

„Jeżeli oskarżamy, a czujemy pełnią praw swoich, to my krzywdy milcząco i z upokorzeniem nie znosimy, my *protestujemy*".

Protest wtedy ma tylko znaczenie, jeżeli popiera go siła, jeżeli ci, co go zanoszą, mogą i mają chęć zmusić przeciwnika do uwzględnienia ich żądań. Ale protesty posłów naszych, odwołujące się do traktatów i przyrzeczeń królewskich są tylko nudnymi popisami lichej wymowy i niczem nie różnią się właściwie od skarg, bo są równie jałowe i równie upokarzające. My nie twierdzimy wcale, że rząd pruski zmieni politykę, jeżeli posłowie nasi wnosić będą oskarżenia, poparte dowodami. Sądzimy tylko, że uzasadnianie zarzutów jest bądź co bądź pożyteczniejszem, aniżeli powtarzanie zwietrzałych frazesów lub ogólnikowych zażaleń.

*Goniec* powiada:

„Położenie nasze dość jasne:

„Niemcy nigdy dobrowolnie Polakom nie oddadzą tego, co im się należy — więc my zkąd inąd tylko wyglądać możemy polepszenia doli naszej, ale nigdy od zaborczego rządu.

„Kto tego nie zrozumiał, ten nie zna abecadła politycznego — i buduje przyszłość narodu na mrzonkach nieuchwytnych, a nie na niewzruszonej ufności w Tego, który narody stworzył i utrzymuje nie na to, żeby się nawzajem pochłaniały."

Zgadzamy się zupełnie ze zdaniem, że »Niemcy nigdy *dobrowolnie* nie oddadzą tego, co nam się należy«. Z tego wynika, że trzeba zmusić ich do ustępstw, żeby zaś zmusić — trzeba mieć siłę. Protestami w parlamencie i prasie nie zmusimy ich chyba, ani te protesty nie wytworzą w nas siły. Dziś już mamy siłę, która w pewnych okolicznościach mogłaby zaważyć na szali, ale stosownie używać jej nie umiemy i nie chcemy. Jedynie opozycyą stanowczą rządowi, nielękającą się żadnych sojuszów, ani żadnych sposobów działania, jeżeli uważa je za skuteczne, możemy zmusić, żeby się chociaż cokolwiek z nami liczono. Jeżeli zaś taka taktyka jest przedwczesną, to poprzestańmy tymczasem na obronie interesów realnych, gromadźmy i organizujmy siły, a nie łudźmy społeczeństwa niemożliwymi kompromisami lub jałowymi protestami. »Zkądinąd« nie możemy i nie powinniśmy wyglądać polepszenia naszej doli. Nie domyślamy, co właściwie to »zkądinąd« oznacza, ale wiemy, że każdy naród przedewszystkiem na sobie, na własnych siłach powinien polegać. To jest pierwsza, najgłówniejsza zasada wszelkiej polityki, to jest właśnie »abecadło polityczne«, o którem *Goniec* wspomina.

= W zaborze pruskim podobnie jak w Galicyi, prasa niezależna coraz ostrzej krytykuje politykę Koła polskiego i oświadcza się przeciw nadużywaniu zasady solidarności, która stała się po prostu puklerzem, chroniącym posłów od odpowiedzialności wobec wyborców i opinii publicznej.

Korespondent berliński *Gońca wielkopolskiego* pisze:

„Omawiając chwiejność polityki Koła Polskiego w Parlamencie, które *wprost przeciwne* w jednej i tej samej sprawie przyjmuje uchwały, wykazując, że niekonsekwencye te zależą od czysto przypadkowej większości posłów, reprezentujących prąd ugodowy albo antyugodowy naszej polityki, miałem zamiar

zniewolić myślące i wpływowe jednostki wielkopolskiego społeczeństwa do tego, aby:

1) albo postarały się o wybór więcej jednolicie myślącej reprezentacyi, bez względu na to, czy ona w ugodowym czy antyugodowym pójdzie kierunku;

2) albo też zastanowiły się nad tem, czy regulamin Koła Polskiego, sięgający pojedyńczymi przepisami jeszcze w czasy kulturkampfu, jest wystarczającym na obecne stosunki?

Czy nie należałoby rozluźnić troszeczkę tej tak osławionej solidarności, świecącej strzępionymi łachmany? Czy nie należałoby wobec nowych dążeń i zapatrywań ogółu postarać się o to, aby wyborcy mieli sposobność poznania wartości swego reprezentanta, jego zapatrywań i czynności".

Zdania powyższe zasługują tymbardziej na uwagę, że *Goniec* bronił solidarności, widząc jednak nadużywanie jej, żąda teraz rozluźnienia zasady, do obecnych stosunków nieodpowiedniej.

Poważnie i gruntownie roztrząsa tę sprawę *Przegląd poznański* który dochodzi do następujących wniosków:

„Naród wybiera posłów, nie Koło, lecz ten sam naród zna tylko Koło, nie posłów, — oto konsekwencya obecnych urządzeń. Anomalii tej nie usuwa bynajmniej fakt, że dzięki prywatnym wynurzeniom i tak zwanym „niedyskrecyom" posłów, raz po raz tajniki Koła odsłonią swój rąbek i kilkaset lub kilka tysięcy osób dowie się o dążeniach politycznych tego lub owego z deputowanych — są to po większej części wersye nieścisłe, o których większość społeczeństwa wcale się nie dowiaduje, są to plotki, pozbawione urzędowego charakteru, których prawdziwość kontrolować trudno, i na których żadnych oskarżeń opierać nie można. A gdyby nawet pokuszono się na mocy prywatnych informacyi o interpelacyą posła na sejmiku relacyjnym, to reprezentant Koła odmówi wszelkich wyjaśnień, bo regulamin usta mu zamyka. W takich stosunkach krążą po kraju całe roje baśni i legend — ludzie macają po ciemku, szukają nie Koła, lecz posła swojego, i znaleźć go nie mogą. Oprócz kilku nazwisk, które nigdy nie taiły swej radykalnej barwy ugodowej, społeczeństwo nie zna tych przedstawicieli parlamentarnych, na których głosy oddaje. Kim jest poseł Jażdżewski? Mówią, że to pogromca Kościelskiego, a obecnie ma iść jeszcze dalej od Kościelskiego (??). Kim jest poseł Dziorobek? Opozycya demokratyczna witała w nim filar swojego programu, — a dziś? Kim jest Wolszlegier, Brodnicki, Rzepnikowski, Wawrzyniak, Ślaski, Donimirski, Jerzykiewicz i mnóstwo innych posłów obu Kół polskich, których polityka nie jest wprawdzie na wskróś identyczną, lecz opartą na porozumieniu? Nie wiemy tego i wiedzieć nie będziemy tak długo, dopóki panująca reguła nie zostanie złamaną."

═ Politycy klasowi i wszelkiego rodzaju ugodowcy, kiedy są w kłopocie, odwołują się zawsze do jedności i zgody narodowej. Pisma, popierające w Prusiech Zachodnich kandydaturę p. Jaworskiego, twierdzą, że »przecie jesteśmy dzieci jednej matki«, więc nie trzeba pytać o zasady polityczne kandydata.

Na to naiwne, czy przewrotne dowodzenie odpowiada *Orędownik:*

„Przecie jednej matki dzieci jesteśmy" — woła „Gaz. Gdańska". Tak, tak, byliśmy jednej matki dzieci także przed stu laty i wytrącili nam ojczyznę z ręku. Teraz po stu latach jedne dzieci sprzedawać muszą ziemię ojczystą, drugie dzieci nie mają za co jej kupić i bierze ją kolonizacya. Chyba w Złotowskiem było można poznać — „jednej matki dzieci", gdy za radą centralnego komitetu oddawano głosy na kandydata, co sprzedawał dziedzictwo kolonizacyi."

Dobre są te »dzieci jednej matki«, które chcą przywłaszczyć sobie cały jej majątek, a ją samą i resztę rodzeństwa wykwitować i zbyć ladajakim datkiem.

═ Z powodu wniesionej przez p. Lewakowskiego interpelacyi o bezprawne, połączone z nadużyciem władzy rozwiązanie zgromadzenia ludowego w Gorlicach, wypowiada *Nowa Reforma* kilka słusznych uwag, które tu powtarzamy, głównie dla czytelników z innych dzielnic:

„Ogół społeczeństwa nie jest u nas, pod względem moralnym i cywilizacyjnym nawet, gorszym, niż w krajach innych; a w niejednym kierunku jest uczciwszy i lepszy, ale ogół ten pozbawiony wpływu decydującego na administracyę rządową i autonomiczną. Stąd pochodzi, że kto w rządzie krajowym szukać zechce kryteryum do oceny polskiego społeczeństwa, ten dojść musi do najfałszywszych wniosków. I w tem właśnie tkwi niebezpieczeństwo wnoszenia skarg na rząd krajowy przed parlamentem austryackim. Nic łatwiejszego, a nawet naturalniejszego nad to, że niechętny nam cudzoziemiec powie: Polacy narzekają na Prusaków i Moskali, a jakże ich właśni rodacy, na wyższych stanowiskach rządowych, u steru władzy postawieni, postępują ze swoimi braćmi w Galicyi? I tutaj trudna jest wymówka, bo przecież tym urzędnikom, na których zanosi się skargi, prawa do miana Polaków nie możemy odmówić.

„Równocześnie atoli mamy prawo wymagać, aby postępowanie ich było jasne i wolne od usprawiedliwionych zarzutów, aby urzędnik austryacki w Galicyi pamiętał o tem, że jest Polakiem lub Rusinem, jeżeli nie chce wykluczyć się dobrowolnie ze społeczeństwa, z którego wzrósł i wśród którego żyje. A przecież my nie żądamy od nich niczego więcej nad to, aby na swych stanowiskach zachowali sąd przedmiotowy wobec wszystkich sfer i klas społecznych, aby dla wszystkich obywateli jednaki mieli wymiar prawa i z jednaką wymiar ten czynili intencyą, — jednem słowem, żądamy od nich, aby nie szli w usługi koteryi, kliki możnowładczej, lecz aby służyli krajowi, całej jego ludności bez różnicy. Wtedy społeczeństwo polskie nie będzie potrzebowało obawiać się interpelacyj na temat starościńskich rządów w Galicyi, czy interpelacye te wniosą Niemcy, czy uczyni to doprowadzony do ostateczności poseł polski.

Byłby czas, aby urzędnicy administracyjni polskiej narodowości upamiętali się raz i zrozumieli, dokąd doprowadzi ich źle zrozumiana gorliwość w usługach, nie leżących w charakterze i zasadach ich obowiązków. Może ona ich doprowadzić do zaszczytnych awansów w urzędniczej hierarchii, — lecz społeczeństwo polskie, opinia publiczna, odmienny, a bardzo dla nich bolesny wyda kiedyś sąd o ich działalności.

„Więc jeśli zarzuca się Lewakowskiemu, że sprawy, dotyczące kraju, wytacza przed areopag parlamentu, — to sprawiedliwość przyznać nakazuje, że nie powinno być spraw, którychbyśmy przed tym areopagiem wstydzić się musieli, bez względu na to, kto je wytacza. Takich spraw jest jednak wiele, a ci, co je wytwarzają, słuszny budzą żal, że do takich doprowadzają ostateczności.

## *PRZEGLĄD PRASY OBCEJ.*

═ Liberalny miesięcznik rosyjski *Wiestnik Jewropy*, przytoczywszy główne ustępy z artykułu *S. Pieterburgskich Wiadomosti* o prześladowaniu przez władze religii katolickiej, dodaje: »Oto są fakty, dotychczas przez nikogo nie sprostowane«.

„W 1881 r. powiada *Wiestnik* — kurator okręgu naukowego warszawskiego p. Apuchtin rozkazał wprowadzić do zakładów naukowych w kraju (Królestwie), stary styl; tym sposobem uczniowie katolicy pozbawieni zostali możności spędzania w gronie rodzinnem świąt Bożego Narodzenia i Wielkiej Nocy".

*Warszawskij Dniewnik* probuje obalić to twierdzenia, przyznać trzeba, zanadto kategorycznie wyrażone, i wyjaśnia, że

„stary styl był wprowadzony do instytucyi urzędowych i zakładów naukowych w kraju nadwiślańskim przed rokiem 1881 i w dodatku na długo przed mianowaniem p. Apuchtina kuratorem okręgu naukowego warszawskiego. Ale być może w wyżej przytoczonych wyrażeniach *S. Peterburskie Wiedomosti* mają na myśli dokonane w r. 1881, na mocy rozkazu Najwyższego z dnia 15. maja 1881 r. — uporządkowanie kwestyi dni wolnych od zajęć urzędowych i szkolnych w kraju nadwiślańskim".

W grudniu tegoż r. według *Dniewnika* p. Apuchtin w porozumieniu z generał-gubernatorem wyznaczył święta, w które uczniowie katolicy mają być wolni od lekcyj. Wyliczywszy te święta, *Dniewnik* zaznacza, że w szkołach, w których katolicy stanowią większość uczniów, dzieci uwalniane są na ferye Bożego Narodzenia 23 grudnia, a na wielkanocne w Wielką Środę.

Otóż to właśnie »uporządkowanie« uniemożliwia wielu uczniom wyjazd do domu na święta Bożego Narodzenia. Prawda, że »stary styl« wprowadzono dawniej, ale przed reformą p. Apuchtina obchodzono jednakowo święta według nowego i starego stylu i rozpuszczano uczniów o kilka dni wcześniej. Obecnie uczeń, jadący do domu rodzicielskiego,

musiałby nieraz w ciągu doby przejechać kilkanaście lub kilkadziesiąt mil końmi. Dostęp do szkół średnich, jak wiadomo, jest bardzo utrudniony i zdarza się, że uczeń z lubelskiego lub płockiego chodzi do gimnazyum w Piotrkowie lub w Kielcach. W Warszawie uczą się w szkołach dzieci, pochodzące z różnych okolic kraju, niekiedy bardzo odległych. Szkoły realne są tylko w Warszawie, Łowiczu i Kaliszu, a uczęszczają do nich uczniowie np. z gubernii lubelskiej i suwalskiej, którzy czasem muszą jechać do domu co najmniej dwie doby.

Rozpuszczanie uczniów o dwa dni wcześniej nie zaszkodziłoby przecie zajęciom szkolnym; jeżeli tego nie uczyniono, jeżeli nie zwrócono uwagi na prośby i skargi rodziców, to słusznie przypuszczać można, że owo »uporządkowanie« miało obok innych celów i ten, żeby uniemożliwić wielu uczniom spędzenie świąt w domu. Taka dokuczliwość złośliwa jest rysem znamiennym działalności władz rosyjskich w Polsce, zwłaszcza władzy szkolnej.

— *Schlesische Zeitung* twierdzi, że propaganda socyalistyczna nie robi postępów wśród Polaków w zaborze pruskim:

„Przed kilku dniami rozeszła się pogłoska, że zjazd polskich socyalistów, który miał się odbyć na Zielone Świątki w Berlinie, został odroczony do przyszłego roku, ponieważ wydane przez ministra spraw wewnętrznych rozporządzenie co do rozwiązania związków socyalistycznych wywołało wielki zamęt w obozie socyalistycznym. To jest atoli tylko pozór: w rzeczywistości dlatego jedynie odstępują polscy socyaliści od zamiaru zwołania zjazdu, ponieważ przy tej sposobności świat dowiedziałby się, że ruch polsko-socyalistyczny wśród ludności polskiej w Niemczech dotychczas znalazł tylko bardzo małe koło zwolenników. Także braknie pieniędzy, aby módz wogóle urządzić kongres, ponieważ 25 delegatów byłoby najmniejszą liczbą, z jaką możnaby wystąpić i potrzebaby użyć 1000 mrk. na koszta podróży, dyety i t. d. Kasa stronnictwa socyalno-demokratycznego atoli jest już dla Polaków zamkniętą, ponieważ socyalistyczne pismo polskie pochłonęło wielkie sumy i w obozie socyalistów niemieckich mnożą się głosy, które twierdzą, że dla Polaków wydane pieniądze są poprostu wyrzucone na marne. Tysiące ulotnych pism, pisanych w języku polskim, które generalna komisya kazała rozrzucać, nie odniosły najmniejszego skutku, a nieliczne organizacye polsko-socyalistyczne wegetują z niewielu członkami. A zatem ruch socyalistyczny wśród Polaków nie dokona niczego“.

Innego zdania jest katolicka *Kölnische Volks-Zeitung*. Zaznacza ona, że z początku robotnicy polscy nie chcieli słyszeć o socyalizmie, ale w ciągu ostatnich 2—3 lat stosunki się zmieniły. Punkt ciężkości ruchu socyalistycznego polskiego znajduje się nie w Poznańskiem lub na Śląsku, ale za granicami dzielnic polskich. W Berlinie, Charlottenburgu, Hamburgu, Altonie, Bremie, w prowincyi nadreńskiej i Westfalii istnieją różnorodne towarzystwa socyalistyczne polskie. W Poznańskiem ruch socyalistyczny słabo się rozwija, to samo w Prusiech Zachodnich, na Śląsku propaganda idzie żwawiej, ale i tam nie zdobywa wielu zwolenników.

Wspomiany wyżej dziennik katolicki przytacza zdanie *Kreuz Zeitung*:

„Od kilku lat uprawiają (oczywiście niemieccy socyaliści) agitacyą socyalną-demokratyczną także pomiędzy polskimi obieżysasami i to z szczególną gorliwością, ponieważ przypuszczają, że polscy obieżysasi po powrocie w strony rodzinne rozszerzać będą nauki socyalno-demokratyczne wśród ludności wiejskiej na wschodzie. Podług doniesień pism socyalistycznych istnieje w tym celu w Berlinie osobne biuro agitacyjne, zajmujące się rozszerzaniem polskiego materyału agitacyjnego. Potrzeba przeciw tej agitacyi socyalno-demokratycznej koniecznie wystąpić“.

*Kölnische Volks-Zeitung* zaznacza, że przeciwdziałać agitacyi można jedynie przy pomocy duchowieństwa polskiego, polityka zaś, której rząd się trzyma względem Polaków, »zamienia ich w końcu na socyalnych demokratów«. Jest w tem trochę prawdy, ale nie tyle, jak się wielu ludziom wydaje.

## *Z OBCEGO ŚWIATA.*

— *Jubileusz stronnictwa centrum.* Stronnictwo katolickie organizować się zaczęło w Prusiech po r. 1852, kiedy rząd wydał przepisy, krępujące swobodę religijną. Ale jako stronnictwo parlamentarne wystąpiło centrum dopiero w r. 1871. Było wtedy w parlamencie 67 posłów katolickich, a w sejmie 51. Podczas t. zw. »walki kulturnej« centrum rozwinęło działalność energiczną i zyskiwać zaczęło coraz więcej zwolenników. Nie było ono jednostronnie katolickiem, ale walczyło przedewszystkiem w obronie wolności religijnej i równouprawnienia wyznań, dla tego należało do niego kilku posłów protestantów. W chwili największego rozkwitu swoich wpływów liczyło centrum stu kilkunastu posłów, obecnie liczba ta trochę się zmniejszyła.

Jak wiadomo, w walce z rządem pruskim Polacy byli wiernymi sojusznikami katolików niemieckich i nawzajem doznawali od nich poparcia. W ostatnich latach nastąpiło pewne ochłodzenie stosunków, bo niemieckie duchowieństwo katolickie w znacznej większości przychylać się zaczęło w ziemiach polskich do polityki germanizacyjnej rządu. Na Śląsku nastąpiły nawet dosyć poważne nieporozumienia z powodu, że przy wyborach Polacy w kilku okręgach postawili kandydatów narodowych. Trzech posłów polskich ze Śląska należy do centrum, są to pp. Szmula, Radwański i Strzoda.

Na obchodzie dwudziestopięciolecia stronnictwa poseł dr. Lieber, który przedstawia w centrum kierunek demokratyczny, w pięknem przemówieniu uczcił Polaków, jako najwierniejszych sprzymierzeńców katolików niemieckich. W imieniu posłów polskich dziękował i przemawiał książę Ferdynand Radziwiłł, prezes Koła parlamentarnego.

— *Prymas węgierski wobec uroczystości tysiącolecia.* Ogromne wrażenie w samych Węgrzech i zagranicą wywarła patryotyczna mowa prymasa Węgier, arcybiskupa Vaszarego, wypowiedziana na uroczystem nabożeństwie w dniu otwarcia wystawy w Peszcie. Znamionująca ją siła uczucia narodowego zasługuje na uwagę wszędzie, zwłaszcza tam, gdzie to uczucie gra ogromną rolę i ma wpływ wielki na losy społeczeństwa.

»Bądź pozdrowiona — oto słowa dostojnika kościelnego — bądź błogosławiona w tym uroczystym dniu przez maluczkiego sługę twego, przez wiernego syna twego, droga Ojczyzno moja.

»Błogosławiona niech będzie każda bruzda ziemi Twej, która tyle świętych popiołów pokrywa; błogosławiona niech będzie każda piędź ziemi twej, krwią bohaterów Twoich zroszona, oblana potem naszego pracowitego ludu; błogosławione niech będzie każde ognisko domowe na ziemi Twej, uświęconej religią naszą«.

Po przemówieniach, skierowanych do pary królewskiej, biskup zwraca się do narodu:

»Narodzie mój, wstań! Przez przodków nabytą, jako dziedzictwo otrzymaną ojczyznę zachować, do kwitnącego stanu doprowadzić, uszczęśliwić, to wielkie i szlachetne zadanie, które na ciebie czeka, narodzie! Prawda, że widnokrąg jest trochę zasępiony, ale przecież nie zawsze jasne nad tobą roztaczało się niebo. Często stałeś nad brzegiem grobu, sądzono już, że cię wypleniono, a ty się wzmogłeś i pomnożyłeś; sądzono, żeś pognębiony, a tyś tryumfował; sądzono, żeś osłabiony, a tyś wzrósł w siłę. I teraz po latach tysiącu wstępujesz w drugie tysiącolecie nie umniejszony w liczbie, nie złamany, nie pod zachód swego życia narodowego, lecz w jego zenicie i pełen siły...

»Przeważnej liczbie narodów, które zniknęły, nie wrogowie zewnętrzni zadali cios śmiertelny, ale właśni synowie...

Prawdziwie wzniosłe uczucia budzą błogosławieństwa, któremi kapłan-patryota zakończył mowę:

»Narodzie mój! Bóg rozkazał niegdyś słudze swemu, by błogosławił narodowi, skoro wstąpi na ziemię obiecaną. I ja niegodny sługa Pana mojego wznoszę w tej uroczystej chwili prawicę, by błogosławić i modlę się do Pana: Niech Bóg wysłucha modłów twoich, narodzie mój, i niech w godzinie utrapienia nie odwraca oblicza swego od ciebie. Niechaj w przyszłości Pan będzie z wami, jak był w przeszłości z ojcami waszymi. Niech spływa na ciebie rosa niebieska, ziemia niechaj obficie rodzi, by głód i nędza ci nie dokuczyły. Niech Bóg uczyni z ciebie wielki i silny naród i podniesie imię twe po wszystkie czasy. Gdy nieprzyjaciel napadnie na ciebie, niech Pan walczy przy tobie i dopomoże ci odnieść zwycięztwo. Niechaj wleje w ciebie ducha bojaźni Bożej, byś zachować lub osiągnąć mógł cnoty przodków twoich, byś nie zachwiał ani razu tych silnych podstaw, na których wiara przodków twoich kraj ten zbudowała. Niech spłynie na ciebie mądrość Boża, byś mógł rozpoznać drogę prawdziwego postępu i byś, zepsuwszy swe obyczaje, osłabiwszy swą siłę, nie utracił tej ziemi, którą Bóg i Pan twój, jako ojczyznę ci przeznaczył...«

Widocznie prymas Węgier nie uważa, żeby gorący patryotyzm sprzeciwiał się zasadom chrześciańskim i dobru kościoła.

= *Protest przeciw uroczystości tysiącolecia węgierskiego.* Jak można było się spodziewać, radość Madziarów z powodu wielkiego święta narodowego nie udzieliła się narodowościom niemadziarskim, zamieszkującym ziemie korony węgierskiej. Gazety słowiańskie przynoszą »protest Rumunów, Serbów i Kroatów«, ogłoszony na krótko przed otwarciem wystawy peszteńskiej. Brzmi on, jak następuje:

»Uroczystości tysiącolecia węgierskiego mają przedewszystkiem być manifestacyą, że przed tysiącem lat pewien szczep zdobył ten kraj i ujarzmił inne ludy i że państwo węgierskie jest narodowem państwem madziarskiem, co jest historycznem kłamstwem, przeciw któremu zastrzedz się musimy. Jeżeli nam danem będzie widzieć równouprawnienie wszystkich ludów w tem państwie, to chętnie weźmiemy udział w tej uroczystości. Dzisiaj widzimy w niej zamach na naszą narodową egzystencyę, uświęcenie naszego niewolnictwa i z tego powodu przeciw tej uroczystości protestujemy«.

Prawdopodobnie, autorowie tych słów, gdyby mieli szczęście być poddanymi cara rosyjskiego, nie pojechaliby dobrowolnie paradować na koniach podczas koronacyi w Moskwie, jak to czynią niektórzy niepowołani przedstawiciele naszego narodu.

## KRONIKA BIEŻĄCA.

= Na koronacyę jedzie do Moskwy nuncyusz Agliardi, który z powrotem zamierza zatrzymać się w Warszawie, jeżeli mu rząd rosyjski pozwoli.

= W Tucholi (Prusy Zachodnie) nowo mianowany landrat, Wenski, oddalił wszystkich kancelistów Polaków, ponieważ obchodzenie przez nich świąt katolickich przeszkadza utrzymaniu porządku biurowego.

= Od pewnego czasu niektórzy urzędnicy stanu cywilnego, a za ich przykładem inspektorowie szkolni w Poznańskiem zaczęli zapisywać nazwiska kobiece polskie z końcówką męzką. Sprawę tę poruszył w komisyi parlamentarnej p. Dziembowski, wskutek czego wydane zostało oświadczenie urzędowe, nakazujące pisać nazwiska stosownie do zasad gramatycznych języka polskiego.

= Pierwsze w Galicyi gimnazyum żeńskie powstaje w Krakowie z inicyatywy prywatnej prof. Bujwida, Cybulskiego i B. Trzaskowskiego. W szkole będą tylko cztery klasy wyższe.

= Zjazd słowiański w Niżnim Nowogrodzie nie odbędzie się prawdopodobnie, bo władze rosyjskie nie bardzo życzą sobie przyjazdu „braci“, którzy mogą niepotrzebnie poruszyć sprawy drażliwe.

= Do zarządu kas dla chorych w Krakowie i Lwowie wybrani zostali przeważnie socyaliści. Jakkolwiek wybory odbyły się legalnie, władza podobno zamierza je unieważnić.

= Arcybiskupa Stablewskiego mianował papież hrabią rzymskim.

= Z kościoła Franciszkanów w Krakowie zniknął cenny zabytek nagrobek Borkowej, pochodzący z XIV wieku. Konserwator zabytków p. Tomkowicz oświadcza, że nie wie, co się z nim stało.

= Niemieckie przeważnie towarzystwo rolnicze w Dąbrownie wykreśliło z grona członków posła ks. Wolszlegiera za to, że na wiecu w Berlinie powiedział: „Nigdy nie będziemy Niemcami. Musimy łączyć się w towarzystwa i agitować w taki sposób, w jaki agitują socyaliści“.

= Rząd rosyjski wydał nowy ukaz o stawianiu krzyżów przydrożnych na Litwie. Ukaz mówi, że na wznoszenie krzyżów i figur z materyału trwałego (cegły, kamienia, żelaza), za obrębem siedziby — uzyskać trzeba pozwolenie władzy. Logicznie z tego wynika, że stawianie krzyżów na własnym gruncie, zwłaszcza drewnianych — jest dozwolonem. Ale w rzeczywistości może być inaczej, bo władza rosyjska rządzi się logiką specyalną.

= Na domagania się Polaków w Olsztynie o przygotowanie dzieci do spowiedzi w języku polskim, odpowiedziała władza duchowna: „Kiedy po niemiecku nie umieją, to później zostaną przyjęte do Sakramentów świętych“.

= We Wrocławiu założono towarzystwo pomocy dla uczącej się młodzieży polskiej. Podobne towarzystwa istnieją w Raciborzu i Bytomiu, należałoby więc je połączyć w jedno.

= Niejaki p. Ostaszewski złożył rękopis nieznanego dzieła Kopernika akademii paryskiej (?).

= Oprócz wyznaczonej deputacyi szlacheckiej, trzej obywatele ziemscy z gub. wileńskiej pp. Maryan Umiastowski, Stanisław Niezabytowski i Jan Gregorowicz jadą na ochotnika do Moskwy dla asystowania konno uroczystemu wjazdowi cara.

= *Nauwa Lietuwiszka Cejtunga* donosi, że po powrocie deputacyi litewskiej z Berlina, w szkołach rozpoczęto naukę języka litewskiego.

= P. Jan Rosen, *né a Varsovie*, wystawił w Salonie paryskim portret Aleksandra III. Najlepszy to dziś we Francyi sposób zyskania odznaczenia. P. Waliszewski za panegiryk dla Katarzyny II otrzymał od akademii wysoką nagrodę. W ogóle artyści nasi nie odznaczają się poczuciem honoru i obowiązków obywatelskich. P. Rygier, któremu nie wiedzie się z pomnikiem Mickiewicza, brał udział w konkursie na pomnik Aleksandra II. Inny artysta, którego nazwiska podający tę wiadomość *Dziennik poznański* nie wymienia, zamienił końcówkę swego nazwiska *ski* na *skoj* dla przypodobania się Francuzom.

= Kolonia polska w Azyi mniejszej (Adampol) licząca około 200 mieszkańców, nie ma ani księdza, ani szkoły polskiej. Konsulat francuski, pod którego opieką zostaje, dziś nie dba o nią wcale, należałoby więc starać się o zmianę protektoratu, co zależy od spadkobierców ks. Wł. Czartoryskiego. Najlepiej byłoby prosić o opiekę konsulat austryacki, włoski lub angielski.

= Z części gubernii podolskiej i kijowskiej ma być utworzona nowa gubernia winnicka.

*Na gimnazyum polskie w Paranie.* Wny Klemens Znamięcki ze Stryja 1 zł. 50 ct., N. N. ze Lwowa 1 zł., inżynier L. z Królestwa 3 zł., konwikt Wnej Bielskiej 12 zł. 5 ct., *razem 17 zł. 55 ct.* Razem z poprzednio złożonemi *53 zł. 50 ct.*

Uwaga. Pieniądze te złożone są na książeczkę oszczędności w Banku Zaliczkowym we Lwowie, jako „Fundusz budowy gimnazyum polskiego w Paranie“.



Z drukarni W. A. Szyjkowskiego. Wydawca i odpowiedzialny redaktor Dr. Wiktor Ungar.